

BLUSZCZ

Spółeciano-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 2 LISTOPADA 1929 ROKU

NR. 44

TREŚĆ NUMERU: Jak okiem sięgnąć po Polsce — *M. H. Szpyrkówna*. Jak zaradzić niedoli dzieci wiejskich — *M. Dobrowolska*. Poezje: „Zaduszki na Rossie” — *Hanna Mortkowiczówna*. Zawalidroga (c. d.) — powieść — *Herminja Naglerowa*. Celadon i Astrea — *Jadwiga Kierowska*. Siedemdziesiąta piąta środa literacka w Wilnie — *Eugenja Masiejewska*. Ze świata sportu kobiecego — *M. K. Z teatrów* — *Herminja Naglerowa*. Ś. p. Helena Cichowiczowa. Kobieta w świecie i w domu. Mody i zwyczaje żaloby — *J. S.* List bez adresu — *Prof. Feliks Teodorowicz*. W sezonie gęsi — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje. Dodatek „Nasza Mównica”. Dodatek „Mody i roboty”: Suknie popołudniowe — *Well*. Dodatek powieściowy: „Głos krwi” — *R. Hichens*. Arkusz wzorów

JAK OKIEM SIĘGNAĆ PO POLSCE

Jak okiem sięgnąć po Polsce, w dniach tych płoną o zmierzchu po jej cmentarzach światelka, światelka, światelka...

Maleńkie, złote wspomnienie. Maleńki, ciepły płomynek. Ślad wielkich bólów, wielkich miłości, wielkich poświęceń, wielkich walk.

Jak egipski znak symboliczny na grobach faraonów, wykłwita drżącym ognikiem nad ciemnią niewielkich kopczyków i mówi świetlistymi głoskami każdemu, kto zna obyczaj naszej ziemi:

— Tu umarł człowiek, godzien wspomnienia.

I w dniu, poświęconym pamięci umarłych, wspomnienie to jakgdyby zapalało się nagłym płomykiem, ażeby przypomnieć o sobie żywym. Żywi są tyle szczęśliwsi! Mogą się upomnieć o swoje zasługi, swoje niedole, swoje należności. Oni — nie mogą. Oni — są milczącą, na wieki niemą armją weteranów, wycofanych z walki, którzy mają tylko najskąpszą, ostatnią emeryturę od przynależnych władz: czworobok ziemi. Oszczędnie mierzony, doskonale wyzyskany, starannie zarejestrowany kawałek gruntu, gdzie wolno im założyć ostatni, chłodny swój dom — zwany tak szczególnie: kwaterą.

Ludzie słusznie obierają na cmentarz miejsce, nad którym szumią drzewa, nad którym świeci słońce! Jest to jedyna ozdoba i jedyna nieraz radość świata, jaka ich zapomnienie nawiedza. W niepowstrzymanem przemijaniu rzeczy tego świata, miłość, przyjaźń, uznanie i troskliwość mijają, jak wszystko inne, i może — jeszcze szybciej. I kategorje mogił na Powązkach, czy na wielu jeszcze cmentarzach, są podzielone. Są między nimi odwiedane, zapomniane lub opuszczone. Jedne uderzają

czystością, kwiatami, dopatrzeniem. Znać na nich rękę, która kocha, i która — jeszcze! — dba. Po innych znać tylko, że niegdyś — dbano o nie także! A trzecia kategorja, jak pogrzeb trzeciej klasy — to zapomniani. Ci, których mogiły jedynie już liście, spadając, złocą czerwono i płomiennie, a słońce ogrzewa narówni ze wspanialszemi. Pozatem, umarli podwójnie: dla życia i dla wspomnienia. I wieleż znanych na cały kraj swego czasu imion zatarły dziś, spłókały i rozkruszyły w miał jesienne deszcze i zimowe zawieje!

A przecież, jest dzień...

Zdarzyło mi się iść Powązkami w taki zaduszny, w taki rozedrgany chybotem maleńkich świeczek ofiarnych zmierzch. Przedziwne miasto umarłych, nawiedzane raz na rok powszechnem świętem pamięci! Złotemi od liści alejami płynęły tłumy, tłumy, tłumy. Wieńce, zasłaniające tego, kto je niósł, więzie jedliny, naręcza astrów i chryzantem, powódź jesiennych kwiatów! Było to podobne do najdziwniejszego w świecie corsa, corsa o najpiękniejszy grób!... Nad wielkim, ciemnym obszarem cmentarza nikle błękitniało zmierzchające niebo, rozświetlane na skrajach, poza murami, przez blade kule pierwszych latarni Warszawy. Tu — nie było rażących światel. Tylko na płytach mogił wyłaczały się krzyże, czworokąty lub pojedyncze świeczki, wykwiatając niedosłyszalnie z mroku, jak wyczarowane głoski tajemniczego pisma. Na ławkach, zaspanych liśćmi, pochylały się nawpół tylko widoczne w mroku postacie, prawie posągowe, prawie płaskorzeźbne

na tle marmurów, granitu i głazu! Znaczyły, jak słupy przydrożne po bokach alei, niepowstrzymanie płynący potok tłumu, który się wlewał bramami, sunął zwartym łożyskiem wzdłuż głównych arterij cmentarza i drobnymi strumykami wsiąkał w bocznicę, szukając swoich mogilek. Cały cmentarz środkowy wyglądał, jak jeden wielki klomb zieleni, kwiatów i światła, iluminowany uroczyście i radośnie na ten jeden pamiętny w roku dzień: dzień, darowany umarłym. Dzień wielkiej Kwesty Niewidzialnych, kiedy głodnie wyżywający swoje życie tłum rzuca do puszek wieczności grosz największej ofiary: jeden dzień z niewiadomej liczby, którą mu zakreśliły wyroki.

A oto w miarę, jak się oddalało od środka cmentarza, od jego arystokratycznych, jeśli tak rzec można, dzielnic: światełka rzedły i ubożały, tłum malał, drogi stawały się bardziej milczące. Stousty poszmer tłumu wlewał się w ciszę coraz dalszem, niklejszem, bardziej odległym echem. I lepiej było słyszeć zgrzytanie tramwajów gdzieś za murami, w mieście.

Wtedy daleko, daleko, już omal gdzieś na niezamieszkanym, by tak rzec, terenach cmentarza zaczęło się wyłacać światełko. Naprzód jedno, potem więcej. Chybały się w jednej linii, jakby w szeregu, jakby w szczególnym orydyku. Coby to mogło być?... Szłam ku nim przez szeleszczące pod nogami rozszumy liści, poprzez jesienny, wilgotny, świeży dech ziemi. Było tu, jak w mieście, kiedy z huczej, odświętnej promenady wejdziesz się w zaciszne uliczki starodzielnicze, gdzie już wszystko oddawna śpi. Któż czuwał tu, na wydmuchach stolicy umarłych?...

Ktoś jednak czuwał. Zgarbiona, sucha, strzępiasta od różnorakich szmat i łachmanów postać siedziała, pochylona, nad małym mogilnym kopczykiem z jedyną ubogą świeczką, zatknietą w ziemię. Takie same świeczki paliły się na takich samych kopczykach w szeregu nalewo i naprawo. Było ich wiele! Cóż to był za wydziedziczony rząd?...

— A czyjeż to są mogiły?... — zapytałam, żeby jakoś napocząć.

Postać w strzępach poruszyła się bez popłochu, a sucha, jak patyk, ręka poprawiła świeczkę, która się pochylała, topniejąc.

— Czyje? Toć ludzkie! Wiadomo. Bez księdza takich chowają, z ubliżeniem, a taki i oni pewnie, nie bój się, swojej świeczki w Zaduszki wypatrują? A któż im, chudzinom, zaświeci świeczkę? Każdy stroni, swojej kwatery patrzy. Cudzych grobów pilnować nikomu nie ochota!

Sądząc ze skrzypliwego głosu i ruchów, była to stara kobieta. Trudno było jednak zrozumieć, czyich pilnuje grobów. Przemogłam się i spytałam jeszcze raz.

— A toć wiadomo, czyje! Samobójcze. Taki, którego się zastrzelił, albo się otrul, albo inną jaką

sobie zadal śmierć. Takiego alboż pochowają uczciwie? Jeśli bogaty, no! Ale małoż to biedoty tu naprzywożą i w dole wspólnym zasypią, że ani śladu nie znajdzie? Kto tam im świeczkę zapali? A przecież i tacy chyba mają duszę, nie parę? I im się patrzy ta świeczka w Zaduszki, nie? Grzech? Może i grzech! Ale na mój rozum, to bogatemu nieboszczykowi od jednej świeczki dużo nie zbędzie! A biednemu — choć i ta najmniejsza świeczyna — zawsze pociecha! Musi i między nieboszczykami sprawiedliwość być, jak u żywych! Kto ma więcej, rzuci grosz uboższemu: bo może! A taki, jak leży pod kamieniem, sam nie rzuci, trza mu dopomóc, poratować! Alboż to krzywda? Z takiego grobu, gdzie mało świeczek, ani za złotówkę nie ruszę! Niech ma! A jak drugiemu całą kwatere świeczkami zalutują, aż jasno, że i przewróci się niejedna, i zagaśnie, a gość nawet nie dojrzy: to u takiego pożyczyc nie grzech! Alboż ja dla siebie?... Dla nich, ślepaczków, co męki czyszcówce cierpią, to robię, nie dla siebie!... Mnie cóż!...

Babina z hałasem utarła nos i kończyła:

— Moje mogilki Bóg tylko wie, gdzie się po świecie posiały!... Jeden syn poszedł do wojska, pisali: poległ śmiercią walecznych, pochowany pod Stanisławowem! Krzyżyk przysłali, książeczkę, dokument; jak to przy wojsku! Pod Stanisławowem! Może ono komu młodemu i blisko; ale nie mnie, starej! Może tam gdzie ona mogilka i jest?... A drugi syn zeszedł od wojska zagranicę, i przepadł! Od słyhu przepadł. Może żyje, a może także poszedł do Pana Boga na kwatere? Cóż! Wiadomo: chłopaki! Ale córkę miałam, Rozalkę! W służbie była u jednych państwa, za młodszą: to wywieźli ją ze sobą pod bolszewika, jak z Warszawy ludzie uciekali. — Oj — powiadała — mam, oj mam! Nie wrócę już pewnie tu do was!... — Tak powiadała. — Umrę tam, albo moskale mnie zabiją! — Tom sama ją namawiała: — Jedź! Państwo niezgorsi, syta będziesz... Tu z jednej skórki chleba we dwie się nie wyżywimy! A sama nie tak, to owak, przeżyję! — i przeżyłem, Boża wola: przeżyłam! A ona, biedota moja, na tyfus po drodze umarła. Siedem lat o niej nie wiedziałam, potem stronami wieści doszły. Przy bitej drodze, przy gościńcu, jak szli, tak mogilkami sieli: tam i ona pod brzożową witką, na nieświęconej ziemi leży! Bez księdza, bez krzyżyka, ani kto się pomodli, ani to Zdrowaś zmówi... Ot, jak te niebożęta tutaj! Jak te! Jak te!

Chlipnęła krótko i, ocierając oczy rękawem, dokończyła:

— To i ofiarowałam się! Od trzech lat tu w Zaduszki siedzę, świeczki dla nich zbieram! U niektórego poproszę, a nie, to i tak... Bogatemu nieboszczykowi jedną świeczuchną podpożyczyć, to nie krzywda!... A jeśli i krzywda, to już tam ją Pan Bóg bez srogości policzy. Gdzież tu mi szukać mogi-

łek po świecie, kiedy już ani śladu po nich pewnie niema, że były? To i palę na tych! Także sieroty bez dopatrzania i opieki, także bez krzyża i znaku! Także komuś synowie i córki... Niech mu się zda, chudziaczkowi, że i do niego ktoś przyszedł w goście!

I myślałam wtedy, odchodząc, że po całej Polsce, jak wielka, czekają na swoją świeczkę zapomniane, niewidoczne, zrównane z ziemią mogiły. Tych, położonych przez kulę, i tych, skoszonych przez tyfus, i tych, którzy padli na wiele innych sposobów, któremi zbiera swe żniwo śmierć. Wydzielone mogiły bezdomnych. Tych najbardziej bezrolnych, tych najbardziej bezmieszkaniowych. Tych,

k którzy i po śmierci nie zostali przydzieleni do żadnej... „kwatery“!

A na ich puste miejsce, na mogiłach tutejszych i bliskich, nie palą się żadne światła.

I myślałam jeszcze, że nieznanem prawem socjologicznym, do którego dotarła sercem, stara żebraczka, może zadośćby się stało jakiejś dalekiej sprawiedliwości, gdyby zamiast świeczek na mogiłach nam drogich i bliskich, jakich dosięgnąć nie możemy: gdybyśmy zamiast tego, zapalili małe światełko pamięci na obcej, ale opuszczonej mogile... w imię tamtych?...

A już wysoko w błękitach rządząca rachunkowość Nieomylnego może ogrzeje na obcej mogile płomykiem tę bliską i drogą dla nas istotę, którejbyśmy chcieli całą duszą przychylić owej wiekuistej, nieprzemijalnej światłości!

M. H. Szpyrkówna.



M. DOBROWOLSKA

JAK ZARADZIĆ NIEDOLI DZIECI WIEJSKICH

Nawiązując do artykułu p. Znatowicz-Szczepańskiej, w którym tak słusznie porusza jedną z naszych bolączek społecznych, pragnę zaznaczyć, że na niedolę dzieci wiejskich wpływa nietyle obojętność rodziców, ile brak uświadomienia, zła organizacja pracy i warunki ekonomiczne.

Naogół dbałość o dziecko w Polsce nie ogranicza się do wskazań wychowawczych dla sfer rodziców inteligentnych, ale zapomocą stacyj opieki nad matką i dzieckiem, poradni, żłobków i ochronek, pogadanek i rozporządzeń — sięgać usiłuje do najszerzych warstw społecznych.

Jednakże miljonowe rzesze ludu wiejskiego są tych wskazań zupełnie prawie pozbawione. Wprawdzie sieć szkół rozszerza się coraz bardziej, ale obejmuje ona szeregi dzieci w wieku szkolnym i ich rodziców. O wychowaniu niemowląt i dzieci uczą państwowe higienistki w niektórych okolicach. Jest to jednak kropla w morzu, bo higienistek jest zaledwie około stu na całą Rzeczpospolitą.

To też niemowlęta i dzieci w wieku przedszkolnym żyją po wsiach w warunkach zupełnego prymi-

tywu i zaniedbania. Ciekawą jest rzeczą, że zaniedbanie to uwidocznia się bardziej wśród dzieci gospodarzy, aniżeli służby folwarcznej. Wyjaśnić to można nietyle pewnym wpływem dworu, ile tem, że dzieci zostają bardziej pod opieką, gdyż matki ich więcej w domu przebywają, aniżeli gospodynie, zmuszone do „harowania na swoim“. Czasem zresztą przy dworach bywają ochronki.

Na zaniedbanie dzieci gospodarskich wpływa wiosną, latem i jesienią praca na roli. Każda chwila ma wtedy decydujące znaczenie dla zbiorów, zwłaszcza w naszych warunkach atmosferycznych. To też w tym okresie zaniedbuje się siebie, izbę, poniekąd inwentarz, a dzieci zostawia samopas, lub pod opieką niewiele co starszego rodzeństwa.

Obrazki, jakie często widzimy na „szczerej“ wsi, są istotnie żalosne i bolesne nad wyraz. Maleństwa brudne, umazane piachem i błotem, często zgłodzone i zmęczone wałęsają się około chałup i po drogach, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Często chałupa bywa zamknięta, żeby dzieci „ognia nie zaproszyły“. Matka wpada przed południem i wieczorem, obrządza

krowy i daje dzieciom jeść. Że pierś spoconą podaje brudną ręką, to zupełnie naturalne. Czasem gotuje się tylko rano i na wieczór, bo na ugotowanie obiadu nie ma czasu. Tedy dzieci po całych dniach ryczą. Dostają czasem w skórę, są „zeknięte“, bo na to, żeby wnikać w ich potrzeby, nikt nie ma sił, głowy, ani czasu.

Zimą bywa o tyle lepiej, że wszyscy są razem. Wprawdzie za szczelnie zamkniętymi oknami, przy czem małe dzieci, z braku odpowiedniego przyodziewu, siedzą całą zimę w domu. Pieniądze są w sienniku, ale „ktoby tam dziecko w mróz na świat wyprowadzał!“. Czekały więc one z wyjściem na ciepło, ale przyzwyczajone zimą do pewnej opieki, tembardziej nie wiedzą potem, co ze sobą robić.

Znam więc dostatnią, o żywej roli i bynajmniej nie zacofaną. Dola dzieci jest tam taka sama, jak wszędzie, chociaż jest szkoła kilkuoddziałowa. Przy szkole jest koło rodzicielskie, dalej stowarzyszenie młodzieży żeńskiej, ochotnicza straż ogniowa i wspólna biblioteczka, dobry kościelny chór.

Mojem zdaniem, są dwie przyczyny istniejącego stanu rzeczy. Po pierwsze — fanatycznie przywiązanie chłopca do ziemi, która z absolutyzmem domaga się zupełnego sobie oddania w okresie plonowania. Po drugie — zupełny brak uświadomienia i poczucia odpowiedzialności za wychowanie dzieci. To też dzieciaki bledną mizerne, niedorozwinięte, giną często, bo nikt nie zdobywa się na inicjatywę przełamania istniejącego obskurantyzmu i obmyślenia środków zaradczych.

Możnaby zapobiec trochę tej dziecięcej niedoli, organizując na szkolnych zebraniach rodzicielskich pogadanki o wychowaniu niemowląt i dzieci, o odpowiedzialności rodziców za ich życie, zdrowie i rozwój,

o takiej organizacji pracy, aby się dzieciom krzywda nie działa. Zainicjować kolejne dyżury matek, babek lub starszych dzieci, w celu dopilnowania bezradnych maleństw. Dalej, wymagać od dzieci w wieku szkolnym, ażeby nabyte wiadomości z zakresu higieny stosowały w domu i przyzwyczajały do nich rodzeństwo i rodziców. Zachęcać dzieci, ażeby uczyły młodsze rodzeństwo zabaw, których się same w szkole uczą.

Wreszcie we wsiach, gdzie latem stoją pustkami gmachy szkolne, możnaby je wykorzystać na ochronki, organizowane na okres letni. Rodzice, zajęci pracą na roli, z pewnością chętnie płaciliby niewielkie składki za opiekę nad dziećmi. Należy tylko raz zacząć. Inicjatywę mogłyby również wziąć w swe ręce nasze czytelniczki. Rozumne i troskliwe matki, świadome wielkiej odpowiedzialności, jaka na nich ciąży za wychowanie dzieci, mogłyby się przyczynić do ulżenia niedoli dzieci wiejskich, organizując odczyty, pogadanki, pokazując sposoby odżywiania, kąpania i przewijania dzieci. Zamieszkując wsie lub miasteczka, blisko siebie położone, mogłyby porozumiewać się między sobą i wspólnymi siłami podjąć się tej akcji, dzieląc się z nami w dziale „Nasza Mównica“ projektami i konkretnymi rezultatami podjętej pracy.

Należałoby również w czasie wakacyj wciągnąć do tej pracy młodzież szkolną, szczególnie harcerstwo i młodzież, należącą do rozmaitych stowarzyszeń. Hasła, wpajane w tę młodzież, będą dopiero skuteczne, jeśli się w szybki czyn zamienia.

Poruszyć trzeba obojętne i ospałe zarządy gmin, samorządy, sejmiki, władze sanitarne i domagać się nie tylko zainteresowania tą sprawą, ale radykalnych rozporządzeń. Gdzie nie pomoże przykład, zachęta i pomoc — trzeba domagać się surowych nakazów.



Dzieci w ochronce wiejskiej.

HANNA MORTKOWICZÓWNA

ZADUSZKI NA ROSSIE

*Ostry wiatr listopada płomienie rozmiata,
Od mokrej ziemi dmucha wilgoć nadmogilna,
Przyszliśmy dziś ukleknąć na cmentarzu Wilna
Z sercem ciepłym od uczuć, z myślą pełną świata.*

*Czujemy mocno życie, mamy silne dłonie,
W których niesiemy tklinie wspomnień świecę jasną.
To nic, że wśród zarośli światelka pogasną.
Jedna lampa zagaśnie i inna zapłonie.*

*To nic, że suche liście i cisza cmentarna
Polożą się calunem na umarłe kości.
W tych grobach i w tych trumnach kielkowały ziarna
Na nowy i radosny plon teraźniejszości.*



HERMINJA NAGLEROWA

26)

ZAWALIDROGA

(pamięć)

Ale, cóż mógł Franek wiedzieć o Klimie, która spęczniała wzruszeniem, nie pojmowała teraz samej siebie. Tak było, jakby ją ktoś rozszarpał na strzępy, a potem zwinął w kłębek. I dlatego była skupiona w jednym czuciu, w którym pomieściło się więcej, niżby zdołała pozbierać z całego swojego życia. Uwielbiała teraz każde słowo przyjaciółki, choćby było najmarniejsze i płakliwe. Celebrowała przy niej, niemal padała przed nią na kolana, Hala złościła się:

— Zachowujesz się, jak warjotka. Bo pewnie — to nie jest przecież twoje nieszczęście.

Klima gładziła jej włosy, plecy, biodra, nogi i egzaltowała się:

— To jest szczęście, to jest jedyne, największe szczęście!

I dopiero, gdy Hala odpychała ją od siebie, gdy jej ordynarnie mówiła:

— Czego się czepiasz rękami! — przytomniała. Głębokim, z trzewi sięgniętym, oddechem odwiewało westchnienie i wtedy czuła się pusta, wysychała wewnętrznie od palącego pragnienia. Tyle tylko, że była na coś potrzebna przyjaciółce.

— Pomów z nim, chcę wiedzieć, czego się trzymać.

Miała więc mówić z Kalinieckim i przygotowywała się do tej rozmowy, jak do egzaminu. Ale właśnie Kaliniecki był dla niej aż nadto uprzejmy. Ofiarowywał się to słomą, to plewą dla jej gospodarstwa, to końmi do Jazłowca, zatrzymywał na rozmowy poobiednie, na czarną kawę u siebie w pokoju. Nie mogła mu patrzeć w oczy, choć tak bardzo o to zabiegał. Nadasana i nieswobodna rozśmieszała go, więc przemawiał do niej, jak do małego dziecka, jak do kogoś najgłupszego na świecie.

Słuchając jego głosu, mieniła się, jak opal, biegała i zachodziła fioletem i aż pod włosy mżył musujący war. I tak niegodna już bronić siebie przed tem, czemu tak łatwo ulegała, podejmowała się orędownictwa na rzecz przyjaciółki.

— Co teraz będzie z Halą?

Kaliniecki odrazu niegrzeczniał:

— Widzę, że jestem pod babską kuratelą.

Ale gdy się gniewał, mogła mu już Klima mówić o obowiązkach, opinii, krzywdzie. Wykluczając siebie poza obręb cudzych spraw, stawiała się znowu

mądra i odważna. Kaliniecki milczał, a na jego twarzy kreśliły się kąśliwe uśmiešky. Klima nie umiała więc pocieszyć Hali, która tak bardzo wierzyła w wynik jej medjatorstwa. Mówiła tylko:

— Bądź cierpliwa, to się jakoś musi ułożyć.

Hala nie mogła jednak znieść tych jedwabnych słówek i krzyczała:

— Nic się nie ułoży! To dla niego nie nowina, pełno tu wszędzie jego bachorów. Jeden mniej, jeden więcej! Ale ze mną nie pójdzie mu tak łatwo!

Takie to sprawy miała tu Klima i gdy się Franek do niej zbliżał, wymykała się, jak ptak z dręczącej ręki. Nieznacznie patrzyła na Franka, jak tu sobie poczyną, jak się grzeje w łaskach ojca, niby kot w słońcu. Rozrósł się i zmęźniał, mówił głośno, jakby chciał przekrzyczeć wszystkich, był nawet trochę śmieszny z tą swoją brawurą, a trochę trzeba się było litować nad jego nieświadomością. Płatał się przecież wśród tego, co się tu działo, oddychał tem powietrzem, nasiąknętem krzywdą i nieuczciwością i tak się właściwie wdzięczył do wszystkich swoją młodością, gdy nikt tu nie dbał o niego. Bo nawet Kaliniecki, choć się wydawało inaczej, rozważał sobie swoje strapienia i Klima przychwytywała w jego oczach żółte błyski zgryzoty.

Franek myślał, że to zły wynik próbnego omłotu tak martwi ojca i pośpieszał z jakąś radosną wiadomością, aby zrównoważyć niepowodzenia gospodarskie. Właśnie urodził się żrebak i nie można było ukryć wzruszenia, że taki śmieszny z wysokimi, trzęsącymi się jeszcze nogami. Tak się tu nad tem rozwodził, żeby się wszyscy cieszyli tem wydarzeniem. Podpatrzył dokładnie karesy klaczy i głuptactwo żrebiecia, obliczył niemal wszystkie białe plamki na szerści nowonarodzonego. Ale jakoś nikt mu nie chciał przywóżyć w uciechę. Przeciwnie, Klima czerwieniała i bladła, jakgdyby miała specjalny przyrząd do zmieniania kolorów, a Hala tak długo układała nabrzmiałe wargi, aż skrzywiły się w grymas płaczu.

— Dość już tego — powiedział ojciec i nie wiadomo było, czy już ma dość Frankowych zachwyków, czy dość tych nieustannych beków Hali. Ale widocznie Hala wzięła to do siebie, bo odkrzyknęła:

— Ty chyba to dobrze rozumiesz, dlaczego teraz płaczę. Chyba rozumiesz, o czem musiałam w tej chwili myśleć, gdy Franek opowiadał! — I wybiegła z pokoju, zatrzaskując drzwi. Za nią, jak na ratunek, pośpieszyła Klima.

Daremnie szukał Franek oczu ojca. Skryty się pod powiekami i tylko drganie brwi świadczyło, jak niemiła była mu ta scena. Franek przyznawał słusność ojcu.

XXVI.

Robota przy stercie miała szczególną wartość. Wszystko tu odbywało się planowo i organizacyjnie, a rozważa trzymała w karbach każdy ruch. Trzeba

było dorównać chłopom w godności gestów, w celności skąpych słów. Budowało się przecież stertę, niczem dom, i obowiązywał ceremonjał, przekazany tradycją. Dowcip okrzyków i pogadywań rodził się z sytuacji, z białego obłoku, z drogi słońca na niebie.

Gdy się stało na stercie, podrosłej już wysoko, pole skłaniało się garbem ku dolinie, a grusze na dalekiej miedzy były, jak czarne namioty. Wiatr furkotał przy rozpalonych i tętniących skroniach, ale Franek zanic nie byłby się przyznał, że nogi dygocą mu ze zmęczenia. Zresztą — przyjemniej tu było, niż gdziekolwiek. Zwłaszcza w domu, do którego wpadał na krótkie, pośpiechem gnane chwile, trzeba było obijać się o ważne miny Klimy, która stale adjutantowała Hali. Franek myślał o niej: ściereczka do ocierania łez. Śmieszyło go wprowadzić, że obie rozmawiają ze sobą bezdźwięcznem poruszeniem ust, jak głuchonieme, ale i gniewało, że się konspirują.

Miał natomiast rekompensatę w czułości ojca tak już jawnej i tak doskonałej, że przyjmował ją niemal zastraszony. Ojciec faworyzował go przy każdej okazji, naradzał się z nim w najważniejszych kwestjach gospodarskich i bodaj czekał jego aprobaty czy sprzeciwu. Więc trudno było wątpić, gdy się miało najoczywistsze dowody, i Franek, jak żrebak, rżał przy ojcu. Dla kobiet miał teraz pogardę, doprawdy, zasłużoną. Hala, Klima, no i Maryna! Oceniał je już należycie, wysiliwszy się na najbardziej jadowite koncepty. Miał z tego swoją radość, jak ozdrowieniec z dobrego jadła, i, wyzbyty przeżyć, śmiał się o tyle głośnie, o ile cichsze były szepty obu kobiet.

Wewnątrz rozparty, panoszył się często dowcipami à propos humorów niewieścich, ale nikt nie poskramiał go, bo już jakby do nikogo nie mówiły, zawzięte, dumne i — samowystarczalne. Tem większą więc miał ochotę podrażnić je, tak, jak się drażni żaby, albo jaszczurki. Uchodziły przed jego napastliwością w głąb domu i gdy zostawał sam, na chwilę odczuwał cierpki smak niezadowolenia z siebie.

Nie było jednak czasu na zbyt długie refleksje i każda nieprzyjemność spadała lekko, jak robaczywy owoc. Pozostawało natomiast poczucie zdrowia, gdy ze zmysłową uciechą wchłaniało się w siebie słońce, żarłocznie połykało powietrze, gdy woda polewała chłodnem srebrem. Więc też największą wartością stała się teraz własna osoba, która, jak sezam, mogła w sobie pomieścić wszystkie skarby.

Tymczasem jednak pogoda była nieprzychylna żniwu i ludziom, bo znowu, i to na długo, zakisł świat słotą. W sadzie wiatr trzepał gałęzmi, brzegi dachów zaśliniły się, jak obrzydliwa warga, a wilgotny mrok pchał się do mieszkań. Oficyna woniała teraz stęchlizną, niczem kosz grzybów. Okna narosły parą, jak żrenica błelmem, i odrazu także osłepła ra-

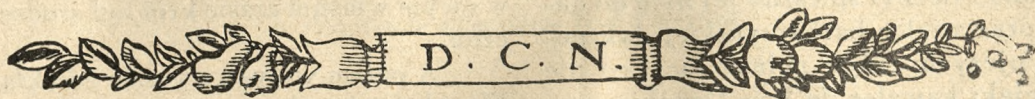
dość Franka. Zato rozglądnęły się znowu setkami oczu smutki i, niby raki, cofały się wstecz ku swoim początkom. Okazało się tak, że nie można odrobić klęsk i że tylko zakrzyczał je na niedługi czas. Gdzieś tam, w deszcz, jak w jedwabny kokon owinięta, przebywa Maryna i nigdy już nie wyprzedzie się z tęsknoty dotyk jej rąk, czerwona barwa rozkoszy. Nad treścią czytanej książki układały się warstwą przypomnienia i kipiały, niczem lawa. Więc też kartki „Salambo“ nie chciały się ruszyć z miejsca, a oleisto-brązowa Fenicjanka była, jak martwa woskowa figura w panoptikum.

Franek nakładał gumowy płaszcz i głośnym szelestem przedzierał się przez deszcz. Spody liści, odginanych wiatrem, bieleły, niczem twarz w omdleniu, a wielki, pachnący orzech parskał zielonemi kroplami. Wyświecony, jak blacha, Franek chronił się pod okap ganku i hałaśliwie czyścił obłoczone buty o żelazną wycieraczkę. Wchodził potem w szare

i nieprzychylnie powietrze domu, w zaduch niewieściich dąsów.

Klima dużemi nożycami wgryzała się właśnie w płat białego płótna, wycinając jakieś dziwactwa. Zboku Hala stękała na migrenę i bolesciwym wzrokiem wodziła po linjach tych wycinanek. Niedostrzeżony, jak w czapce-niewidce, przenosił się Franek z krzesła na krzesło. Mógł tu, doprawdy, wieść żywot wędrowny nomadów, tyle mu zostawiano swobody i miejsca. Ojciec wczesnym rankiem wyjechał na sesję do prezesa i Franek mógł się teraz przekonać, jak trudno jest samemu podolać sojuszowi bab.

Klima zabrała się do zszywania pociętych kawałków i maszyna zaterkotała krzykliwe, a bezczelnie. Żółte pasmo skóry biegło gładko po świetelku koła, igła dziobała łapczywie w płótno, nad czarnym ramieniem tańczyła szpulka nici, a złotymi literami płołał napis: Singer. Nieznużenie deptały nogi Klimy w ażurowy pedał maszyny.



JADWIGA KIEWNARSKA

CELADON I ASTREA*)

czyli

KRÓLA JANA Z KRÓLOWĄ MARYSIENKĄ AMORY

ROZDZIAŁ I.

W orszaku Królowej.

Jadąc w r. 1645 na swe królowanie do dalekiej Polski, zabierała ze sobą szlachetna pani Marja Gonzaga, księżniczka Niwerneńska, fraucymier liczny panień i dam przedziwnej gładkości. Mniemano bowiem we Francji, że Polska — to kraj mlekiem i miodem płynący, pełen magnatów, wśród których byle ładny buziak, nawet bez grosza posagu, może znaleźć los niepowszedni. To też co bardziej dzietni dworzanie błagali przyszłą królową, aby ich młodsze pociechy ze sobą zabrać raczyła. Łaskawego przychyliła tym prośbom ucha, mniemając, iż najłaciej jest w Polsce rządzić przez białogłowy, pani dumna i żądna władzy, godna spadkobierczyni znamienitego rodu Gonzagów, w którym krew najprzedniejszych przedstawicieli wszystkich narodów Europy zdawała się być pomięszaną. Mówiono o Gonzagach, iż byli bitni, jak Niemcy, namiętni a wykretni, jak Włosi, przebiegli, jako Grecy, a swarliwi i pieniacze — jak Francuzi.

Nieodrodna swego rodu córa, miała już w on czas Marja Gonzaga najpiękniejsze lata swej burzliwej młodości poza sobą. Więc: miłość namiętą do

księcia Orleanu, którą to miłość przypłaciła więzieniem w lochach Vincennes, gdzie czuły amant umiłał jej pobyt przemycanymi w potrawach wierszami. A gdy niestałość książęcego kochanka bardziej, niż więzienne mury, omroczyła młodość córy Gonzagów, rzuciła się dumna i namiętna księżniczka w wir rewolucji pałacowej, stała się bohaterką i inspiratorką Frondy.

W ogniu niebezpieczeństw zakwitła najpiękniejsza miłość, jaka kiedykolwiek oprzemieniała życie kobiety: miłość romantyczna — dwieście lat przed romantyzmem. Miłość mocna, jak śmierć, i śmiercią też się kończąca. Śmiercią jednego tylko z kochanków. Waleczny Cinq Mars złożył na szafocie pełną szlachetnych marzeń głowę. Dla kuzynki królewskiej skończyła się cała frondowa awantura względna nielaską u dworu.

Miała tedy księżniczka w Paryżu własny salon, w którym zbierały się wszystkie pięknoduchy i umysły niezależne. Nie w smak była wszechmocnemu kardynałowi Mazariniemu nieustanna bliskość tygrysy ujarzmionej, lecz nieugłaskanej bynajmniej. Ciągłe nad tem przemyślał, jakby ją z Paryża od-

*) Fragment ze studjum historyczno-obyczajowego, które otrzymało pierwszą nagrodę na konkursie „Roju“.

dalić, a jeszcze i w przebiegłej a odważnej niewieście cenną sojuszniczkę pozyskać. Aż wreszcie nadarzyła się okazja potemu jedyna. Władysław IV, król polski, po utracie swej pierwszej nieodżałowanej małżonki Cecylji Rakuskiej, zapragnął wstąpić w ponowne związki hymenu. Od tego był Mazarini Mazarinim, godnym Machiawela uczniem, aby tak sprawą pokręcić, iż najstosowniejszą dla króla polskiego partją w Europie okazała się Marja Gónzaga.

Miło było księżniczce, więzionej za młodu, odsuwanej od łaski i zaszczytów dworskich, nazwać królowę Francji swą siostrą. Jeszcze milej — spojrzeć zwysoka na niewiernego Orleana i odjechać dumnie, w orszaku tak wspaniałym, że wiwatujący lud paryski nie mógł dość mu się nagapić.

Jechała tedy królowa przez Niderlandy i niemieckie kraje; jechała, nie śpiesząc, rzemiennym dyszlem. Cieszyły ją oddawane jej hołdy królewskie, uniżone atencje i kwieciste oracje, jakimi ją wszędzie spotykano. Niezbyt śpieszno jej było do dalekiej i zimnej, oraz wielce barbarzyńskiej, jak powiadano, nowej ojczyzny. Byli jednak tacy, co nie tracili czasu. Niejaki kawaler de Bois-Dauphin, mający do królowej polskiej pretensje o to, że mu w jego amorach z księżną de Choisy nie dość była pomocna, zdążył przesłać do Warszawy listy, w których oskarżał Marję Gónzaga o rozpustę i nierząd. Obecność ślicznej, czteroletniej dziewczynki w orszaku królowej miała być tego nierządu oczywistym dowodem. Zdumiał się król polski wielce i oburzył niemało, pismo takowe czytając. Wnet wysłano kurlera, aby wstrzymał w Gdańsku księżniczkę z orszakiem i wstępu do Królestwa, którego się niegodną okazała, zakazał.

Niewinną przyczyną tak przykrych zamieszek była imienniczka królowej, malutka córeczka Henryka de la Grange d'Arquien, kapitana gwardji brata królewskiego, oraz Franciszki de la Châtre, byłej guwernantki księżniczki. Marja Gónzaga zabrała dziecko zarówno z upodobania dla jego ślicznej twarzy, jak i z chęci ulżenia ludziom dietnym a niezamożnym. Lecz, jak się okazało, dobre uczynki nie zawsze przynoszą błogosławieństwo, a ten właśnie o mały włos nie pozbawił dumnej pani tak bliskiej już korony. Różnie zresztą o tem zatrzymaniu orszaku królowej w Gdańsku mówiono.

Twierdzili niektórzy, że skapstwo i wykrętność Mazariniego były temu przyczyną. Wpadł bowiem chciwy włoszyn na pomysł genialny, aby z pierwszej raty posagu królowej potracić kosztą ekwipażu i wyprawy. Szły sztafety z Warszawy do Paryża i z Paryża do Warszawy, a panna młoda wciąż czekała w Gdańsku. Wreszcie załagodzono wszelkie drażliwości natury materialnej i moralnej. Mazarini zgodził się na kompromis, a królowa-matka (Anna Austriacka) poręczyła za dziewczęcość księżniczki, „jakgdyby była jej córką rodzoną”.

Musiało to królowi wystarczyć, lubo zachwyconym się być nie zdawał. Na spotkanie małżonki nie wyjechał, przyjął ją siedzący, z twarzą posępną, okiem zgaszonym; klęczącej przed nim niewiasty długo z kolan podnieść nie raczył.

Ku wielkiemu zgorszeniu obu orszaków — polskiego i francuskiego — małżonkowie pozostawali sobie obcy przez czas dłuższy. Król wieczerał wprawdzie u królowej, lecz na noc wracał do swojej komnaty. Daremnie usiłowała przełamać lody pani marszałkowa de Guébriant, ochmistryn dworu królowej. Dopiero po miesiącu doczekała cna dama szczęśliwej owej chwili, w której zdołała własnoręcznie zaciągnąć kotarę ślubnego łoża królewskich małżonków, o czem niezwłocznie w radosnym biuletynie do Paryża donieść pośpieszyła. Różni różnie prawili o przyczynach tej, niepojętej w małżeńskim stanie, królewskiej abstynencji. Najbliższymi pono prawdy byli ci, co w tem upatrywali przyczynę, iż w owym właśnie czasie król był srodze podagrą udręczon.

A potem wszystko poszło zwykłą rzeczy koleją. Wśród dzielnych rycerzy polskich, a pięknych dam z fraucymeru królowej gospodarować jął Kupido. Nawet sam Król Jegomość, mimo podagry złośliwej a wieku niemłodego, nie pozostał nieczułym na bożka tego strzały. Aliści w pięknie utrefionych główkach francuskich dziewic oleju nie brakło, języczki miały dobrze wyostrzone i potrafiły w potrzebie fechtować niemi, jak szpadą.

— Daruje Wasza Królewska Mość — odrzekła królowi najpiękniejsza z dworek — nie pojmuję Jego mowy, bom zamało jeszcze polskich słów nauczona.

— Mowę imć Krasińskiego zdajesz się, mościa panno, niezgorzej rozumieć.

— Nie jest on królem, Najjaśniejszy Panie. Aby królewską mowę rozumieć, trza być królową. Jeśli wola, poproszę Najjaśniejszej Pani, aby mi słowa Jego Królewskiej Mości przetłumaczyć raczyła.

Nie w smak poszła królowi ta Najjaśniejszej Małżonki interwencja, poniechał języczliwej panny i w inną stronę skierował swój afekt spóźniony.

Jednakowoż nauczył się i on i jego dworzanie, iż do misternej francuskiej białogłowy obcesem podchodzić nie lża. Musiały tedy polskie niedźwiedzie tak tańcować, jak im francuskie laleczki kazały. Tańców zagranicznych się uczyć, ckliwie a dłużące się nieskończenie opowieści miłosne o Celadonach i Astreach czytywać, dusery prawić... Czego się bo dla gładkiego liczka nie czyni! I szły na zamku królewskim zabawy miłosne i igrzyska. Królowa jeno obcą pozostała tym dworu swego uciechom. Miłość i młodość już miała poza sobą: zostały w dalekiej Francji. Duszę jej hardą i niespokojną owładnęła teraz bez reszty pasja rządzenia. Tej już do końca swego żywota, sprzeniewierzyć się nie miała.



Posiedzenie wileńskiego Tow. Literatów.

EUGENJA MASIEJEWSKA

SIEDEMDZIESIĄTA PIĄTA ŚRODA LITERACKA W WILNIE

Siedemdziesiąta piąta Środa Literacka w Wilnie, pierwsza w tym sezonie jesiennym, zapowiadała się inaczej, niż zwykle. Miała się odbyć w nowej siedzibie Związku Literatów Wileńskich, w murach byłego Klasztoru Ojców Bazyljanów.

To dawne więzienie Filaretów wraz z „Celą Konrada” otrzymali literaci wileńscy z rąk Pana Wojewody, zawsze łaskawego protektora wszelkich poczynąń tego rodzaju. Ostatnio korytarz ten z przylegającymi salami stanowił część gimnazjum białoruskiego, które i w tej chwili sąsiaduje po drugiej stronie schodów z nowym mieszkaniem literatów.

Gdy wieść gruchnęła po Wilnie, że literaci się przeprowadzają i popularne „Środy” nie będą już w znanych murach, niektórzy sarknąć zaczęli, że to i daleko, i niewiadomo, czy tam można będzie się urządzić, jak należy. A najwięksi sceptycy kiwali głowami nad „celą”, która, ich zdaniem, przedwcześnie nazwę Konradowej przybrała. O tę celę skrzyżowali szpady w zacieklej dyskusji najwięksi znawcy starego Wilna i przedstawiciele nauki.

Zapanował ruch. Trzeba było wszystko przygotować na przyjęcie zaproszonych gości, a tu narazie były do rozporządzenia tylko świeżo odnowione ściany. Okazało się jednak, że Wilno lubi swoich literatów. Już przedtem przyszedł im z pomocą Pan Wo-

jewoda, miasto, Dyrekcja Robót Publicznych; teraz pośpieszyli z darami ludzie prywatni, ofiarowując sztychy, meble, kilimy. A robiło się wszystko w pośpiechu, i, jak zwykle, w ostatniej chwili. Nieraz zastanawiałam się, jak ta „ostatnia chwila” umie gorączkowo pracować...

Jeszcze w przeddzień wieczorem w nowym lokalu panował najzupełniejszy chaos. P. Dyrektor Turkowski w pocie czoła urządził Celę Konrada, układając w gablotkach, świeżo i krwawo zdobytych, wszystkie pamiątki: autografy, fotografie autografów, oraz dzieła Mickiewicza i jego kolegów, wydane przed rokiem 1829.

Na ścianach znalazły się sztychy i fotografie, mające związek bliższy lub dalszy z Mickiewiczem i jego rodzinnymi stronami. Stukały młotki... naradzali się młodszy pomocnicy... patrzyła nikłymi literami świeżo wmurowana tablica, obsychając smugą ciemniejszego wapna, niby świeżo zasklepioną raną.

W korytarzu natłoczyły się stoły, ławki i gabloty, jeżyły się stosy najrozmaitszych gratów, wśród których głodny i niewyspany sekretarz Związku, p. Witold Hulewicz, wystukiwał na maszynie wzmiankę do gazet, pożywiając się jednocześnie pokrzepiającymi słowami druha swego, Tadeusza Szeligowskiego.

Obok tapicerzy objęli meble, amatorzy przybi-

jali kilimy i zastawiano dla zgłodniałych pomoćników herbatę na bocznym stole, ku któremu zerkał pożądliwie nieszczęsny Hulewicz, zachowując, mimo wszystko, przytomność umysłu. Z przerażeniem pomyślałam, że nie zdążymy do jutrzejszego popołudnia.

— Będzie Strug — rzekł niewyraźnie sekretarz, któremu jakaś współczująca ręka włożyła do ust kawałek chleba z masłem. — Będzie Ujejski... Liczymy na p. Ministra i przedstawicieli Rządu.

— Na cześć tych gości kupiliśmy ten oto purpurowy dywan — zakomunikował skarbnik, każąc podziwiać sprężystość szorstkiej tkaniny.

— Proszę obejrzyć kilim, ofiarowany Związkowi przez Polskie Radio — niepokoił się Hulewicz. — Prawda, że ładny?

Oczywiście, że wyglądał imponująco, zajmując potem całą ścianę ztyłu estrady w głównej sali.

Nazajutrz rano Wilno grzebało prochy Lelewela i pochód był podobno imponujący. Nie widziałam tego, gdyż byłam zajęta zawieszaniem obrazów w Sali zebrań, przyszywaniem kółek do kilimów, a nawet przybijaniem tych kilimów do poręczy drewnianych ław, która to robota szła mi bardzo niesporo, dając w wyniku dwa złamane paznokcie.

Sama uroczystość otwarcia Celi Konrada miała się odbyć o 6-tej. O 5 i pół byłam na miejscu, stwierdzając z biciem serca, że wszystko się jarzy od światła, smuga dywanu skanduje purpurą: „Witajcie!”, wieszadła stanęły w sztywnej gotowości do przyjęcia nadmiernego ciężaru, a gwar rozmów miłych znajomych i błękitnawe smugi papierosowego dymu w korytarzu świadczą o pomyślnym początku imprezy.

Rzeczywiście, inteligentne Wilno zjawiało się w komplecie na tę uroczystość. Na estradzie stanął wśród kwiatów mikrofon, a na długich stołach w sali — torty i przysmaki w oczekiwaniu na swój przeznaczony los.

Chór otworzył porządek dnia... Rozpoczęły się deklamacje... Podczas tego po zwartym tłoku publiczności przeszło poruszenie i zafalowały szepty — zapewne drzwiami od estrady weszli przedstawiciele Rządu.

Przemówił pr. Ujejski... Głos zabrał Wojewoda, oddając w ręce literatów najczcigodniejszą część szacownych murów. Potem wzruszone słowa profesora Pigonia drgnęły w przepelnionej sali.

Mówca podkreślał, że zbieg uroczystości z powodu 350 lecia Uniwersytetu z otwarciem Celi Konrada nie jest tylko przypadkiem: jest głębszym symbolem wewnętrznej tych rzeczy łączności. Jako Prezes Zw. Liter., służył profesor Pigoń w ich imieniu to Święte Świętych pamiątek polskich w godnej cześci zachować.

Strug podniósł znowu związek Mickiewicza i Lelewela, którego prochy dnia dzisiejszego w miłej ziemi spoczęły, i zwrócił uwagę na osobliwie podniosłą atmosferę literacką Wilna.

Z pewnem zdziwieniem dowiedziałam się z ust jego, że ta atmosfera różni się i w chwili obecnej od nastroju w innych miastach, a choćby i w samej stolicy, w zawistnej i skłóconej Warszawie. — Tam — mówił Strug — żywi ludzie pióra unikają się nawzajem, jest jakaś nieobecność literatów, ukazują się tylko książki, a to nie jest wszystko. W Wilnie czuć jedność, daje ono przykład życia się — a więc siwowłasy pisarz polski życzył Wilnu, aby utrzymało nadal swoje zaszczytne stanowisko.

Po dokonanych akcie poświęcenia Dostojni Goście udali się do Celi Konrada... gdzie spojrzała na nich tablica z pod wieńców i kwiatów i powitały stężące ze wzruszenia twarze młodocianych skautów, stojących na zaszczytnej straży.

Część oficjalna skończona — teraz zwykły gwar rozmów, dźwięk łyczek i ostrożne przesuwanie się tac, obciążonych herbatą, między natłokiem gości.

Robię w korytarzu zasadzkę, próbując na własną rękę, acz bez należytej przytomności umysłu, zapoznać się ze Strugiem. Gość nasz przyjmuje to do brotliwie i wcale nie wygląda na urażonego moją śmiałością. To też, rozzuchwalona tem powodzeniem, proponuję niektórym dostojnikom przeczytanie mojej powieści, co mi przvrzekają ze szlachetną lekkomyślnością.

Po tem wszystkiem przypominam sobie, że mam prawo wypić herbatę za swoje 3 zł składki miesięcznej, ale do herbaty mogę dostać już tylko zaledwie cytrynę. Po tortach pozostały cukrowe sople i ładnie powycinane serwetki.

Nie psuje mi to bynajmniej humoru, a ponieważ cały nastrój Środy działa na mnie w kierunku artystycznej niefrasobliwości o materialne jutro, wracam do domu dorożką, jakbym była redaktorem jakiegoś dziennika, a nie osobą, której nie chcą płacić za drukowane utwory.

Wilno, 9 października 1929 r.



ZE ŚWIATA SPORTU KOBIECEGO

W ostatnich czasach coraz bardziej rozwija się sport kobiecy i to we wszystkich dziedzinach. Najlepiej świadczą o tem spotkania, względnie rozgrywki międzynarodowe, które coraz częściej notujemy, a które podnoszą prestige samego sportu kobiecego oraz zmuszają do odpowiedniego ustosunkowania.

Dnia 6 b. m. odbył się mecz hazeny na polach Agrikoli między najsilniejszą siódmką w Europie, znakomitą drużyną hazenistek Czechosłowacji a polkami.

Hazena — gra sportowa w piłkę wybitnie kobieca — powstała w 1905 r. w Czechach. Czeszki uważają ją za swoją grę narodową, nie więc dziwnego, że mają ambicję, aby mieć mistrzostwo Europy. Nasze sportswomenki, grające w hazenę od pięciu lat, aczkolwiek w meczu tym przegrały — i to w dużym stosunku, gdyż 15:2 na korzyść Czechosłowacji — jednak skorzystały dużo, mogąc dokładnie przypatrzeć się idealnej wprost grze hazenistek czeskich.

Czeszki, pod względem fizycznym niepokazne, jednak wyglądające kokieteryjnie w swych białych koszulkach i króciutkich granatowych spódnickach, w bucikach, zrobionych na wzór futbolowych — zadziwiały swoją techniką, szybkością, kombinacją gry, zwinnością oraz ostrością strzałów.

U naszych, natomiast, widocznym był brak zgrania; podania piłek za mało precyzyjne, za płaskie, tak, że większą część podań wylapują z łatwością przeciwniczki. Za dużo same chcą grać, zwłaszcza w ataku, prócz tego nie były przyzwyczajone do obrony tak ostrych strzałów.

Gra naogół poprawna, bez rozbijań.

Nasze hazenistki będą grać w roku przyszłym w Bernie i w Pradze.

*

W Meranie odbył się międzynarodowy turniej tenisowy, w którym wzięło udział osiem narodowości, a między niemi Anglicy, Francuzi, Niemcy, Włosi i t. d. W turnieju tym brały udział nasze tenisistki, z których p. Jędrzejewska odniosła szereg sukcesów.

W grze podwójnej pań, para Jędrzejewska—Dubieńska pokonała parę niemiecką Engler-Kaene, w stosunku 6:3 i 6:4.

*

O Mistrzostwo Polski. W niedzielę w hali parku Sobieskiego odbyła się rozgrzywka w siatkówkę o mistrzostwo Polski między mistrzyniami z Łodzi — Ł. K. S. — a Warszawy — A. Z. S. Warszawianki, dzięki technice i zgraniu, pobiły Łódź w stosunku 30:8 i 30:3, zdobywając tem tytuł mistrzyń Polski.

*

W rozgrywce w hazenie między drużyną łódzką

Ł. K. S. a warszawską „Grażyną”, mistrzostwo polskie zdobyła drużyna z Łodzi.

*

Z lekkoatletyki. Na zakończenie sezonu letniego zorganizowano cały szereg imprez sportowych z dziedziny lekkoatletyki, w różnych punktach Polski. W Warszawie walczyły panie o nagrodę Pol. Zw. Lekkoatletycznego. Nagrodę zdobyły Sadowska, Wojnarowska i Lubecka.

Prowincja również zaczyna się ruszać. Urządzono z tej dziedziny rozgrywki w Krakowie, we Lwowie, w Przemyślu, w Bydgoszczy, w Królewskiej Hucie i w Pabjanicach.

Z zagranicy. Niedawno w Turynie rozegrały panie z lekkoatletyki mistrzostwo Włoch.

Szwedki zdobyły nowe rekordy, które zostały uznane na ostatniem posiedzeniu związku lekkoatletycznego.

*

Na konkursach hippicznych we Lwowie na Persenkówce brała udział p. Wanda Czajkowska, która zdobyła nagrodę w kwocie 1000 zł.

*

Z nowości w tym sezonie jest rozpowszechnianie wśród zawodników wszechstronności sportu i zachęcanie do uprawiania różnych jego gałęzi. W tym celu we Francji wprowadzono trójbój, który polega na biegu na 16.5 klm. Dystans ten musiał być przebyty częściowo pieszo, biegiem, częściowo na rowerze, częściowo zaś wodą na jedyne klepkowej.

*

Widzimy więc, jak bardzo interesują się nasze panie sportem, notujemy coraz poważniejsze rozgrywki, wytwarzają się coraz większe konkurencje; niestety, zima, która się do nas szybkim krokiem zbliża, przerwie treningi i imprezy letnie.

Wkrótce zapewne usłyszymy o nowych sukcesach naszych dzielnych pań, ale już z dziedziny sportów zimowych.

M. K.

Z TEATRÓW

TEATR NARODOWY.

Adam Mickiewicz: „Konfederaci Barscy” — fragment dramatyczny w 2-ach aktach. Nowy przekład z francuskiego Artura Górskiego. Reżyserja Józefa Węgrzyna. Dekoracje Wincentego Drabika.

Konfederacja barska, która była tym „pierwszym odruchem” polskiej ambicji, już systematycznie poniżanej przez obce ambasady, była jednak w swojej istocie rewolucją o hasłach zachowawczych. To bowiem, co się już wtedy poczynalo dzieć we Francji, co wkrótce tam wybuchło krwawym odwetem przeciw tyranji, przyjmowało się w Polsce właśnie w tych sferach, które politycznie jeszcze nie doszły do głosu. Barszczanie mieli swój odrębny program, tkwiący w pojęciach dawnego polskiego republikanizmu, a ich zasługą jest jedynie sam ruch, sam wstrząs rebeljancki, który poruszył umysły przeciw Rosji.

Rewolucja, która płomieniem wędrownym szła po Polsce od Ukrainy po Karpaty, która wznicała wojenne tradycje i wskrzeszała bohaterstwo, mogła wistocie posłużyć tematami, przetwarzać się artystycznie. Korzystał z jej mistyczno-dramatycznych wydarzeń Słowacki, znajdując w niej kojarzenie się elementów religijnych i narodowych, tak swojemu duchowi wówczas bliskie. Mickiewicz, sięgając do Konfederacji Barskiej, mógł mieć inne zamysły. Jeżeli więc odsuniemy sam moment materialny, skłaniający Mickiewicza do pisania tego dramatu z przyczyn zarobkowych, będziemy mogli doszukać się w tendencji „Konfederatów Barskich” czynników wybitnie politycznych, dobrze wyrozumowanych. Szło tu przecież o polityczne pobratymstwo Francji w chwilach dla Europy burzliwych. Z tych chwil mogła Polska korzystać, jako wiecznie żywa kwestia, jako realne zagadnienie polityczne, które dla Francji nie było pozbawione cech sentymentalnych.

Dziś razi nas właśnie najwięcej ten sentymentalizm polityczny, dziś pobrzmiwa nam w nim tylko frazes, bo przecież wiemy, że te wszystkie uczuciowe dyplomacje były dla Polski jedynie szeregiem rozczerowań. Mickiewicz, mimo realizmu swojej czynnej pracy politycznej na emigracji, widział jednak w pomocy Francji niemal jedyny ratunek. Trochę już goryczy znalazło się w „Konfederatach”, ale jeszcze Choisy symbolizuje to przymierze dusz i broni. Ci dwaj: Choisy i Pułaski — mieli francuzów przekonać, że polska brawura, poparta francuską wiedzą wojenną, zdoła Polsce przywrócić wolność.

Z dwuaktowego fragmentu niesposób nam dziś zrekonstruować rdzeń dramatyczny tej sztuki. Zapewne była ona dwuplanowa: dramat miłości i dramat ojczyzny. Już te dwa akty, które znamy, wyraźnie zaznaczają dwuplanowość. Akt pierwszy zapowiada konflikt uczuć Karoliny, akt drugi jest czysto konfederacki, jest niejako programem dalszych działań wojennych rozbitej grupy Pułaskiego. I tu właśnie moment religijny zaczyna działać silniej, upostaciowany modlitwą i wpływem ks. Marka na lud. Demokratyczne przekonania mickiewiczowskiej epoki znajdują swój wyraz w nieco operowej scenie, kiedy to entuzjazm górali imituje, z pominięciem chronologii — racławicki ludowy entuzjazm.

Konfederatów zagrano z okazji uroczystości ku czci Pułaskiego i Teatr Narodowy usiłował nadać fragmentowi tę konieczną pozę, ten uroczystościowy gest. Poprzedził więc sztukę podniosłą i wzruszającą „Pieśnią Konfederatów”, którzy „stali na Boga ordynansie” i służyli własną krwią „miłej ojczyźnie”. Wiersz Opmana: „Kazimierz Pułaski” pobrzmiwał strofą Słowackiego i łączył piękną metaforą gwiazdzysty sztandar Ameryki z niebem wojownika.

Artyści grali jednak bez wzajemnego porozumienia się ze sobą. Zwłaszcza Węgrzyn odcinał się zbytniem deklamatorstwem i przesadą wywoływał sceptycyzm zarówno dla samej sprawy konfederackiej, jak i dla zamierzeń artystycznych poetów. Najlepszy był wojewoda Bay-Rydzewskiego i doktor Zielińskiego.

Herminja Naglerowa.

Ś. P. HELENA CICHOWICZOWA

W Knocke sur Mer w Belgji zmarła w ubiegłym miesiącu zasłużona twórczyni Muzeum Ludoznawczego w Poznaniu i przewodnicząca T-wa Ludoznawczego, znana działaczka poznańska — ś. p. Helena z Robińskich Cichowiczowa.

Początkiem jej działalności było krzewienie zamilowania do pieśni polskiej. Gorąca wielbicielka muzyki i śpiewu, obrona prezeską poznańskiej „Lutni”, doprowadziła stowarzyszenie do wielkiego rozkwitu. Koncerty, przez zmarłą urządzone przy udziale najwybitniejszych artystów Polski, cieszyły się ogromnym powodzeniem, zapelniając tłumnie przybywającą na nie publicznością największą w Poznaniu za czasów niewoli salę — Lamberta. Wieczorki „Lutni” za czasów jej prezesury należały



do najwykwintniejszych. W ten sposób p. Cichowiczowa rozwijała nie tylko zamilowanie do pieśni polskiej, ale przez towarzyskie łączenie się wzbudzała ducha narodowego i łączność narodową w czasie niewoli niemieckiej.

Pracę gromadzenia okazów sztuki ludowej i folkloru Wielkopolski rozpoczęła w r. 1909 na skutek poparcia ówczesnego prezesa T-wa Przyjaciół Nauk — ś. p. ks. arcybiskupa Likowskiego, który namówił ją do zmuśnej pracy, mającej na celu zachowanie skarbów kultury polskiej od zagłady, jaką niesie z sobą niwelizacja kultury europejskiej.

W ciągu niespełna roku ś. p. Cichowiczowa zdołała przy pomocy swej wiernej współpracowniczki — córki Wiesławy — równie zamilowanej w sztuce polskiej, jak ona, nagromadzić tak poważną liczbę okazów, że można było urządzić wystawę w gmachu Muzeum Mielżyńskich. W roku złotego jubileuszu ś. p. ks. arcybiskupa Likowskiego nastąpiło już otwarcie Muzeum Ludoznawczego w Poznaniu, obecnie mieszczącego się w Muzeum Wielkopolskim pod nazwą „Dział ludoznawczy imienia Heleny i Wiesławy Cichowicz”.

W r. 1922 p. Cichowiczowa urządziła pierwszą w Polsce wystawę prawdziwych koronek, zabytków sztuki koronkarskiej, znajdujących się w posiadaniu polskich rodów ziemiańskich i mieszczańskich. Jednocześnie, pobudzona uznaniem zwiedzających wystawę dla tych misternych arcydzieł pracy kobiet, zainicjowała kursa koronkarskie w Poznaniu.

Zmarła była żoną znanego adwokata, b. wiceprezesa Komisji Kodyfikacyjnej. Zwłoki jej, sprowadzone z Belgji, pochowano w Poznaniu przy tłumnym udziale wszystkich sfer społecznych miasta i okolicy, z duchowieństwem na czele. W czasie pogrzebu na gmachu Muzeum Wielkopolskiego zatknięto na znak żałoby opuszczoną do połowy masztu flagę państwową.

Zbiory, zgromadzone przez ś. p. Cichowiczową i jej córkę, przedstawiają niezwykle ciekawe źródło dla artystów i pionierów sztuki stosowanej polskiej. Znajdujemy wśród nich przede wszystkim okazy zanikających tak szybkim tempem, strojów ludowych: z Kujaw, z okolic Poznania, ze Śląska, z okolic Sieradza i Siedlec, kurpiowskie, podolskie, huculskie, podhalańskie, łowickie, krakowskie. Dalej — instrumenty muzyczne ludowe, jak kobzy, mazanki, przebierki i t. p., przedmioty z dziedziny przemysłu ludowego i sztuki, kolekcję „stroików” na głowę, haftów, wycinanek, barwnych samodziół, sprzętów ludowych i t. p.

Kobieta w świecie i w domu

DZIECI POLICJANTÓW W SWOJEJ ŚWIETLICY.

Stow. Rodzina Policyjna rozciąga gorliwą opiekę nad dziećmi funkcjonariuszy policji. Założone niedawno stowarzyszenie zdołało już zorganizować kolonie i półkolonie letnie, obecnie zaś otworzono przy ul. Krochmalnej Świetlicę dla dzieci i przedszkole. Świetlica ma charakter nie tylko rozrywkowy. Udzielana w niej będzie pomoc w naukach uczniom szkół, nadto prowadzone będą roboty ręczne, oraz pogadanki i odczyty. Świetlica mieć będzie swoją bibliotekę i czytelnię. Projektuje się też organizację sekcji przedstawień amatorskich, sportowej i t. p. Świetlica przeznaczona jest dla dzieci starszych, powyżej lat 10-u, przedszkole zaś dla malców od 4 do 7-u. Za bardzo niską opłatą dzieci znajdują tu opiekę i wychowanie przedszkolne, oprócz tego zaś gorące śniadania.

I SŁUŻBA POWINNA OSZCZĘDZAĆ.

Bardzo pożyteczną inicjatywę podjęła Poczta Kasa Oszczędności, łącznie ze Związkiem Służby domowej: propagowanie oszczędności wśród służących. W tym celu postanowiono poczynić pewne ułatwienia. Naturalnie, cała akcja musi charakter umów dobrowolnych, nie może być obowiązująca, jak np. ubezpieczenia w Kasach Chorych, lub składki emerytalne. I w tym jednak zakresie działalności prywatnej można dużo zrobić. Zarząd Związku służby domowej zachęca swych członków, a także i pracodawców, do zawierania umów dobrowolnych, zobowiązujących służbę do wpłacania z pensji drobnych sum na książeczki oszczędnościowe, przyczem taką samą lub nieco większą kwotę zobowiązuje się wносить i pracodawca. Oszczędności takie mogą właściciele książeczek podnosić dopiero po pewnej liczbie lat, ewentualnie, jeśli zakładają rodzinę.

WOJSKO POTRZEBUJE TELEGRAFISTEK.

W początku przyszłego miesiąca otwarty zostanie przez ministerstwo Spraw Wojskowych kurs nauki telegrafowania dla

kobiet. Sluchaczki mają być wyszkolone, jako samodzielne kierowniczkami stacji telegraficznych.

Pierwszeństwo w przyjęciu na kursy przysługuje pracowniczkom urzędów poczt i telegrafów. Kurs odbędzie się w Zegrzu, a podczas trwania nauki sluchaczki będą otrzymywały mieszkanie, życie, wyekwipowanie i uposażenie.

PRZEWODNICZĄCA WIELKIEGO STRONNICTWA.

Ciekawe metamorfozy przeszła w swym życiu pani Zuzanna Lawrence.

Od eleganckiej, młodej Miss z „dobrej“, konserwatywnej rodziny, modernizującej, jako studentka, i olśniewającej impertynentem monokłem, do zakonnice prawie skromnej w uczesaniu i ubiorze, lecz stojącej na świeczniku działalności publicznej, przewodniczącej jednego z największych stronnictw politycznych — Partii Pracy, jakże daleka droga! Niezwykle kontrasty zajmują wiele miejsca w życiu tej dzielnej kobiety. Wybrana ze stronnictwa konserwatywnego, którego była wówczas członkinią, do rady szkolnej miasta Londynu, została do głębi przejęta ciężką dolą kobiet, pełniących obowiązki woźnych szkolnych, i, pozostawiając swym kolegom troskę o sprawy szkolnictwa, doskonale już zresztą zorganizowanego, zajęła się wydziedziczonymi i pokrzywdzonymi pracownikami. Utworzone początkowo lokalne zrzeszenie rozrosło się wkrótce w wielki „Związek Robotnic“, a dawna konserwatystka została członkinią socjalistycznej Partii Pracy.

Ale nie koniec dziwnych kolei życia. Wybrana, jako radna, z robotniczej, londyńskiej dzielnicy Poplar, popełniła wytworna Miss Lawrence... nadużycie. Wzruszona nędzą mieszkańców Poplaru, przeznaczyła dla ulżenia ich doli poważne sumy z kasy miejskiej, przewidziane w budżecie na inny, mniej potrzebny, jej zdaniem, użytek. Potrafiła nadto przekonać i pociągnąć za sobą w tem... przestępstwie, grono kolegów-radnych i — wspólnie z nimi skazana została na więzienie, za przekroczenie kompetencji władzy.

Biedni z Poplaru obsypali ją błogosławieństwami za to przestępstwo, którego surowe prawo angielskie nie chciało darować. Miss Lawrence jednak nie przejęła się zbyt swym nieszcześciem. Czas, spędzony w areszcie, użyła na napisanie wyczerpującej broszury o systemie podatkowym miasta Londynu. Jest bowiem doskonałą znawczynią w tym zakresie.

Karjera polityczna pani Lawrence szła odtąd szybko. Wkrótce potem wybrana została radną hrabstwa Londynu,



Otwarcie Świetlicy i Przedszkola Stow. Rodziny Policyjnej.



Miss Zuzanna Lawrence.
Przewodnicząca angielskiej Partji Pracy.

w r. 1925 zaś weszła poraz pierwszy, jako posłanka Partji Pracy, do Izby Gmin. W r. 1926 wybrana została poraz drugi, w r. b. poraz trzeci. Przypuszczano przytem ogólnie, że prezes gabinetu przeznaczy dla pani Lawrence tekę ministerstwa oświaty. Mac Donald jednak ofiarował jej stanowisko podsekretarza stanu w ministerstwie zdrowia publicznego, obecnie zaś, na zjeździe w Brighton, Partja Pracy wybrała ją, jako przewodniczącą. Poraz to pierwszy w dziejach, kobieta została przewodniczącą wielkiego, politycznego stronnictwa.

Jeżeli przypomnimy sobie, że Miss Lawrence jest również wiceprzewodniczącą angielskiej Ligi Praw Wyborczych Kobiet, zrzeszenia, składającego się głównie z pań z wysokiej burżuazji i arystokracji — będziemy mieli obraz wszechstronnej działalności tej wybitnej jednostki, umiejącej, na platformie dobra publicznego, pogodzić wiele sprzecznych poglądów.

PANOWIE I PANIE.

Podczas przyjęcia, wydanego z okazji wystawy radjowej w Londynie, żona kanclerza skarbu, Snowdena, wygłosiła przemówienie, które rozpoczęła zwykłą w tych razach formułką, ale w odwrotnym porządku. Oto zamiast — panie i panowie — powiedziała p. Snowden: panowie i panie. Początkowo zapanowało zdumienie, omal nie konsternacja. Czyżby lady ze sfer dyplomatycznych mogła aż tak nie znać przepisów konwenansu, lub, przez nieprzebaczone roztargnienie, tak się omylić! Prędko jednak sytuacja się wyjaśniła. Pani Snowden oświadczyła, co następuje: „Jeżeli uzyskalibyśmy równouprawnienie, to musimy odwzajemnić się i na polu towarzyskiem. Gdy do audytorjum przemawia mężczyzna, powinien powitać

Serenada.

*Tam pod balkonem uroczej donny
Ze szpadą w ręku stał rycerz konny:*

-- Bądź mi wzajemną, nie chciej mej zguby! 775
-- Więc „DAJ-GO“ ŻAKA przywieź mi luby!...

najpierw kobiety, jeżeli zaś kobieta, wtedy mężczyznom należy się w powitaniu pierwszeństwo”.

PRAWDZIWY RAJ DLA STENOTYPISTEK.

Błogosławionym tym krajem jest Turcja, a stało się tak wskutek nowego rozporządzenia Kemala Paszy o zmianie турецkiego alfabetu na łaciński. Ostatnio sprowadzono z Anglii trzy tysiące maszyn do pisania z alfabetem łacińskim, tymczasem okazało się, iż żeński personel biurowy, który też zadebiutował na arenie pracowniczej bardzo niedawno, przedtem bowiem zamknięty był w haremie, wcale nie jest przygotowany do pracy na tych maszynach, gdyż większość biuralistek zna tylko język rodzinny. Narazie więc maszyny będą sobie poszukiwały pracowniczek! Byłoby wprawdzie łatwo je znaleźć, gdyż cudzoziemek dosyć jest w Turcji, ale... istnieje wyraźne rozporządzenie Kemala, że pracownicami urzędów państwowych i komunalnych mogą być tylko turczynki. Zdolne więc i znające alfabet łaciński maszynistki mają zapewniłą doskonale płatną pracę.

ŻYCIE POLITYCZNE KOBIET HISPANSKICH.

Zupełnie odmiennie od innych krajów Europy zachodniej i Ameryki przedstawia się ruch kobiecy w Hiszpanji. Hiszpanki weszły do życia publicznego swego kraju jakby niepostrzeżenie. Nie było żadnej głośniejszej kampanji, żadnej walki, prawie żadnej widocznej zmiany obyczajów. Jak ktoś dowcipnie powiedział, kobieta hiszpańska wraca do domu ze Zgromadzenia Narodowego tak, jak powraca z kościoła, aby zająć się znów sprawami domowymi. Nie opuszcza ona domu dla spraw publicznych, lecz do tych spraw wprowadza wszystkie cnoty domowe: spokój, ład, wdzięk i macierzyńskie uczucie.

Hiszpanki potrafiły doskonale pogodzić pracę zawodową z obowiązkami żon i matek. Pracują one we wszystkich zawodach: lekarek, prawniczek, inżynierek, nauczycielek i profesorów wyższych uczelni, lotniczek; są o wiele bardziej przedsiębiorcze w handlu i przemyśle od mężczyzn.

Pełnego równouprawnienia faktycznego nie uzyskała dotąd kobieta hiszpańska, ale należy wziąć pod uwagę, że od czasu rządów Primo de Riveri prawa polityczne ogółu obywateli są ograniczone. Natomiast dyktator hiszpański jest bardzo przychylnie usposobiony dla równouprawnienia i od 1923 r. kobiety są bez ograniczeń przyjmowane do służby państwowej, jak również biorą wydatny udział w samorządach, pełniąc nierzadko funkcje burmistrzów miast.

Nowy projekt organizacji Zgromadzenia Narodowego, mający wejść w życie w r. 1950, przewiduje prawo wyborcze czynne i bierne dla wszystkich obywateli hiszpańskich, którzy ukończyli 25 lat. Autorem tego paragrafu jest Primo de Rivera, a projekt nowej konstytucji odczytany został w Zgromadzeniu Narodowym przez sekretarkę p. Carmen Questa. Kobiety, bowiem, biorą udział w parlamencie hiszpańskim na zasadzie nominacji z cenzusu naukowego, zasług społecznych i t. p.

OD REDAKCJI

Wszystkie drobne rękopisy, których odbiór osobisty lub drogą korespondencji nie jest zastrzeżony, ulegają zniszczeniu. Rękopisy większe (powieści, artykuły, nowele) będą odsyłane jedynie po otrzymaniu przez Redakcję znaczków pocztowych w odpowiedniej ilości. W innych wypadkach będziemy odpowiadać w rubryce „Odpowiedzi Redakcji”. Z tego względu prosimy o zaznaczenie przy przesyłaniu rękopisu, pod jakim nazwiskiem (inicjałami, pseudonimem) ma być udzielona odpowiedź.

Listy w sprawach redakcyjnych (prośby o informacje, rękopisy) powinny mieć na kopercie napis Redakcja i nie mogą zawierać żadnych spraw, związanych z Administracją, (prenumerata, zmiana adresu i t. p.), do której wszelkie zgłoszenia kierować należy osobno.



wdowa nie tylko podczas pogrzebu nosi welon, zapuszczony na twarz

dziej wyszukany; nosi się białe kamizoleczki, lekkie welenki (na tle czarnem drobny deseń biały); po woli wracamy do normy, zachowując popielate i szare barwy, a także kolory fioletowe i lila na koniec gorliwie obserwowanej żałoby; ostatnie półrocze drugiego roku przeznaczamy na lekką żałobę, która stanowi dyskretne przejście do zwykłego ubrania.

Żałobę po rodzicach nosi się w pierwszym półroczu tak, jak żałobę po mężu; w drugim — moda pozwala odrzucić całkiem welon, a pozostać tylko w czerni, którą zmienimy na materiały czarne z białym już w końcu drugiego półrocza. Po rodzicach męża nosimy żałobę tak, jak po swoich, pozwalając sobie jednak na welon żorzetowy już w pierwszym kwartale.

Termin noszenia żałoby po dzieciach małych nie jest ściśle określony, trwa jednak conajmniej pół roku.

Żałoba po babkach i dziadkach dzieli się też na okresy i wymaga w pierwszym półroczu welonu, a raczej długiej woalki żorzetowej, czarnego matowego płaszcza i duńskich rękawiczek, zamśzowych pantofelków i czarnych pończoszek. Następne trzy miesiące przeznaczamy na okres przejściowy i sub-

MODY I ZWYCZAJE ŻAŁOBY

Życie gorączkowe, które wciąga nas w wir różnorodnych zajęć, z konieczności wpływa na długość i sposób noszenia żałoby.

Okresy trwania żałoby są różne, zależnie od tego, po kim ją nosimy. Najdłuższa i najsurowsza żałoba obowiązuje wdowę, która nie tylko podczas pogrzebu, ale przez pierwsze trzy miesiące nosi welon z angielskiej krepy, zapuszczony na twarz przy wyjściu na ulicę. Kapelusz w kształcie mocno przylegającej kapotki, obrzeżony wypustką z białej karbowanej krepy, podpięty pod brodą paskiem również białej krepy, nosi się zagranicą do najsurowszej żałoby. U nas białych wypustek nie używa się prawie wcale, ograniczając się do grubej, czarnej angielskiej krepy. Płaszcze gładkie angielskie przybiera się kołnierzykiem i mankietami krepowemi.

Przez następne trzy miesiące wdowa nosi welon odrzucony, a w drugim półroczu woal żorzetowy zastępuje ciężką krepe. Upięty z dwóch stron kapelusz, otacza go jakby powiewnymi skrzydłami, lub czarnym obłokiem. Na początku drugiego roku welon znika, choć czerń pozostaje, jedyne odchylenie od niej — to lekki dodatek koloru białego, używanego w tym czasie. Z płaszczy i sukien krepe zdejmujemy, przybierając je świecącym jedwabiem i ozdobnemi czarnymi futrami. Rękawiczki glansowane zastępują w tym okresie rękawiczki duńskie.

Stopniowo suknie przybierają krój i pozór bar-



dopóki matka w krepie, pięcioletnia córeczka ubierana jest białą



w drugim półroczu żaloby po rodzicach młode panienki mogą ubierać się białe do tenisa

telny powrót do zwykłych kolorów; nosimy barwy szare, popielate, odcienie fioletowe i lila.

Po siostrach, braciach, bratowych i szwagrach używa się krótkich woalek żorzetowych i czarnych kolorów tak długo, jak po dziadkach. Lekką, nieobowiązkową żalobę po ciotkach i wujach, braciach i siostrach ciotecznych, zależnie od stopnia zażyłości z nimi, nosimy najwyżej trzy miesiące, podkreślając ją krótką woalką i materiałami czarnymi z białym.

Żalobę po dalszej rodzinie nosi się tylko przy bardzo serdecznych stosunkach, najwyżej sześć tygodni.

Do grubej żaloby używamy materiałów matowych, jak sukno, kasha i praktycznego, choć nieładnego, szewjotu. Niezbędne dawniej kaszmiry zarzucono zupełnie, natomiast połączenie crêpe de chine'u z angielską krepią bardzo jest przyjęte. Crêpe de chine gładki albo groszkowany, crêpe marocain, żorżeta — są również używane. Płaszcze noszone są z ciężkich jedwabi, przybrane krepią angielską. Krepią w rodzaju angielskiej, ale lżejszą od niej, używa się na woale, kapelusze, kamizelki i inne dodatki. Spódnice nie naszywa się wcale krepią: robi się je, podług panującej mody, plisowane lub kloszowe.

Pod koniec drugiego półrocza żaloby, mniej więcej po dziesięciu miesiącach, można nosić suknie żorzetowe, przybrane matowymi czarnymi perłami:

ten rodzaj sukien służy do wieczorowego ubrania. Do kostjumu angielskiego, noszonego w podróży, zwłaszcza w lecie, ciężki kapelusz z welonem zastępujemy małym filcowym, otoczonym woalem gazowym.

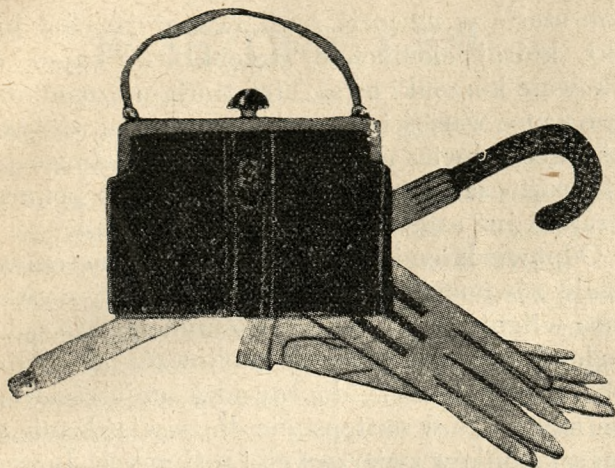
W drugim półroczu żaloby po rodzicach młodym panienkom i bardzo młodym mężatkom uchodzi grywać w tenisa, do którego używają białych sukien płóciennych z czarnymi krawatami i paskami. Jako negliż do grubej żaloby, noszone są materiały białe matowe, przybrane lub inkrustowane czarnym tiulem.

W pierwszych okresach żaloby używane jest zamszowe obuwie, następnie miękkie gemzowe pantofelki, a w końcu dopiero lakierki. W miastach do grubej żaloby używane są obecnie pończoszki bardzo ciemno-szare, koloru dymu, co łącznie z welonami i matowymi materiałami tworzy zharmonizowaną całość. Woreczek zamszowy z czarnym zamkiem, parasolka czarna z hebanową rączką i czarne duńskie rękawiczki dopełniają eleganckiej całości.

Czarne biżuterje z masy, lawy, lub drzewa nie są teraz wcale używane; najwyżej sznur czarnych paciorków przy lornetce, choć i ten najczęściej za-



suknię z żorżety, przybraną hebanowymi paciorkami, można włożyć wieczorem przy końcu roku żaloby



czarne duńskie rękawiczki, zamszowy woreczek i hebanowa rączka u parasolki noszone są do grubej żaloby

stępuje wąska, morowa wstążeczka. Czarne obrzeżenie chusteczek do nosa robi się o wiele węższe, niż dawniej; najbardziej modne są w jednym rożku haftowane wianuszki czarnych różyczek, których sposób robienia podawaliśmy nieraz; w środku wianuszka umieszcza się małą, czarną literkę. Zamiast czarnego szlaczka bardzo elegancko wygląda obrobienie szydełkowymi pikotkami, bawełną coton perlé D. M. C. Nr. 12.

Czarne brzegi przy papierze listowym i biletach wizytowych zredukowane są w początkach żaloby do jednego milimetra. W drugim półroczu maleją jeszcze tak, że przy końcu roku pozostaje zaledwie ślad czarnego brzeżka.

Małych dzieci nie ubiera się czarno do pięciu lat. Dopóki matka w krepie, dziecko nosi białe sukienki, płaszczyki i kapelusiki; pończoszki, pantofelki i wstążka przy kapeluszu czarne. Do 15-tu lat panienki ubiera się w dużą kratę czarną z białem; płaszczyki i wszelkie akcesoria czarne. Do lat 17-tu obowiązuje kolor czarny bez krepy, a następnie młoda osoba stosuje się do ogólnych wymagań żaloby.

W Anglii, gdzie najsurowiej obserwowane są wszelkie zwyczaje i tradycje, w dużych domach, dotkniętych żalobą, służba obowiązana jest chodzić czarno. Liberje nawet zmieniają na czarne z czarnymi guzikami. Z całego personelu domowego tylko sofer ma prawo nosić ciemno-szary płaszcz.

Okres lekkiej żaloby stanowi dyskretne przejście do kolorów jaśniejszych, biżuterji, do przyjęć i udziału w ogólnym życiu światowym i towarzyskiem. Od taktu i subtelności danej osoby zależy sposób przeprowadzenia tej zmiany.

J. S



LIST BEZ ADRESU

Oto trafił mi się kłopot, może największy z tych, jakie miałem w życiu!

Otrzymałem bowiem dziś list z Warszawy — tak przynajmniej mówi pocztowy stempel na kopercie. Wewnątrz treść obfita, bardzo ciekawa ze względu na poruszone problemy. Dalej wiele pytań, wreszcie zakończenie listu o dosłownym brzmieniu:

„Gdyby Szanowny Pan zechciał zaszczyścić mnie odpowiedzią na powyższe pytania, byłoby z mojej strony tyle gorącej wdzięczności, że sądzę, iż wynagrodziłoby to Sz. Panu ten trud, jeżeli dla Sz. Pana wdzięczność pieczarkarek ma jakąś wartość. W nadziei otrzymania łaskawej odpowiedzi, przesyłam wyrazy głębokiego poważania, — najzapaleńsza pieczarkarka W. Sz...”

Tu następują wyraźnie wprowadzić wypisane imię i nazwisko, ale bez śladu adresu!...

Co robić zatem?

Oczywiście, nietylko bardzo pragnę zarobić w tak łatwy sposób na tak entuzjastycznie zdeklarowaną wdzięczność „najzapaleńszej pieczarkarki”, ale też, i to przede wszystkim, chciałbym odpowiedzieć na zawarte w liście pytania.

Gdy zaś one, jak zobaczymy, są tego rodzaju, że odpowiedź na nie zainteresuje bezsprzecznie ogół amatorów i fachowców w dziedzinie hodowli pieczarek, zatem, nie pozostaje mi nic innego, jak tylko podać do publicznej wiadomości dzisiejsze me słowa, które — mam nadzieję — i przed oczy autorki „listu bez adresu” szczęśliwie się dostawszy, ułatwią Jej spełnienie obietnicy, a mnie — wyzbycie się kłopotu!

Pani W. Sz. zatem zapytuje:

1. Jak długo trwa okres owocowania pieczarek? „Odbyłam niedawno konferencję z p. Brzozowskim” (znany powszechnie, znakomity fachowiec w ogrodnictwie, właściciel pięknych zakładów ogrodniczych w Warszawie) „którego system hodowlany jest w ważniejszych szczegółach odmienny od systemu Szan. Pana. Moje pieczarki owocowały tylko 4 tygodnie, p. Brzozowski powiedział, że jego hodowle nigdy nie owocowały dłużej. Tymczasem zaś Sz. Pan podaje, że widywał hodowle, owocujące 6 miesięcy i dłużej. W jakich warunkach to było? Ciekawem jest jednak, że moja hodowla, jakkolwiek owocowała tylko 4 tygodnie, wydała jednak na 10 m. kw. około 100 kg.”

Moja odpowiedź:

Przedewszystkiem zastrzec się muszę przeciw używaniu w technice hodowania pieczarek terminu „system”. Tu bowiem niema różnych systemów, tylko jeden jedyny, t. j. francuski! Ufajmy twórcom i odwiecznym praktykom w hodowaniu pieczarek, t. j. Francuzom, którzy, od dwóch blisko wieków hodowle te nieprzerwanie prowadząc, napewno do dziś „system” ujednastajnili! Mogą zatem być odchylenia

mniejsze lub większe od systemu jedyne, dające w skutku mniejsze lub większe odchylenia się produkcji od normy. Kto da na łożyska mniej nawozu, niż potrzeba, kto użyje grzybni gorszej rasy, kto mniej czysto hodowlę prowadzi, kto przez niedbalstwo dopuszcza do powstawania w niej chorób i szkodników — ten krócej, słabiej i gorzej zbierać będzie. Lecz czy to są „systemy“?!

Hodowle p. Brzozowskiego owocowały najdłużej 4 tygodnie; Pani hodowla również tyle. Ale cóż za ogromna różnica między pierwszymi a drugą! Wprawdzie Szan. Pani nie podaje, ile produkowały hodowle p. Brzozowskiego, lecz z porównawczego, a opatrzonego wykrzyknikiem, zestawienia Pani domyślamy się, że hodowle p. B. produkowały normalnie, t. j. przeciętnie po 5 dkg. z 1 metra kw. dziennie. Zaś Pani hodowla przynosiła przeciętnie dziennie po 357 gramów, czyli przeszło 35 i pół dekagrama z każdego kwadratowego metra powierzchni.

No, nareszcie mamy konkretny dowód słuszności mych dawniejszych twierdzeń, iż hodowla pieczarek może przynosić i więcej, niż 50 gr. dziennie z 1 m. kw., że może produkować w tym stosunku i 600 gr. dziennie, o ile ktoś, nie szukając, ani wynajdując „systemów“, ściśle według najnowszych zdobyczy nauki i praktyki, schludnie, zdrowo i roztropnie weźmie się do rzeczy!

Wspomniałem o „dawniejszych twierdzeniach“. Tak, „dawniejsze“, bo od paru lat nie głoszę już tego, sparzywszy się skutkami mych dawniejszych wywodów. Oto, ten i ów spróbował. Wielu sfuszowało z miejsca; reszta, doczekawszy się produkcji pieczarek, równie obfite, a nieraz i obfitsze zbierała żniwo w postaci stonogów, ściary, owej maleńkiej muszki, sprawiającej nieobliczalne szkody, i wielu innych szkodników zwierzęcych i roślinnych, jakich pełno zawsze w niedbale prowadzonej hodowli!

... Ale, ale — na miłość Boską! proszę Panią Szanowną o publiczne w „Bluszczu“ odsłonięcie kryjącej Ją dotąd przyłbicy, jeśli tylko artykuł ten dostanie się do Jej wiadomości, bo gotowi i dziś ci, co mnie nazwali fantastą, grzybiarzem-poetą, a nawet... megalomanem, okrzyknąć mnie, jako fałszerza dokumentów, do jakich bezsprzecznie list Pani dla historii polskiego pieczarkarstwa należy!

Lecz czas wrócić do zasady pytania: jak długo trwa okres owocowania pieczarek? Odpowiedź: tak długo, jak długo trwają warunki owocowania. A te są następujące: odpowiednia pożywka i odpowiednie warunki zewnętrzne. Pożywką jest nawóz od zwierząt, karmionych owsem, a tak macerowany, by zawierający się w nim, a niepożuty i niestrawiony owies nie stracił zdolności kiełkowania. Kiełkując w nakładzionym na łożyska nawozie, t. zn. puszczając pierwszy, zielony pęd i — co najważniejsze — pierwszy w głąb warstwy nawozu korzonek, staje się oparciem żywotnem dla rozwijającej się również

w tym czasie w nawozie zapikowanej grzybni pieczarki, której cieniuchne strzępki, wnękając we włoskowate korzonki owsa, otrzymują nieznane dziś jeszcze nauce wartości, pozwalające grzybni rozwinąć się ze ssącego owies niemowlęciem w samoistnego już grzyba-roztocza (saprofity), wybierającego pokarm, tym razem już azotowy, z pokładów nawozu.

Odpowiedniami zaś warunkami zewnętrznymi są: stale równomierna ciepłota otoczenia i wystarczająca wilgotność powietrza. Bo myli się, kto sądzi, że hodowlę pieczarek należy podlewać, jak roślinę zieloną. Ten „system“ doprowadza najczęściej do gnicia nawozu, a w następstwie do zagnieżdżania się w nim szkodników zwierzęcych i roślinnych. Już sam gnijący nawóz zatruwa z wolna grzybnie pieczarki, reszty dokonują szkodniki. W rzeczywistości nie powinno się nigdy hodowli podlewać, ani nawet zraszać, utrzymując natomiast otaczającą ją powietrze w stanie stałego nasycenia parą wodną przy jednostajnej temperaturze powietrza.

Dlatego najbardziej niespodziewane rezultaty otrzymuje się z hodowli pieczarek, zakładanych w cieplarniach (t. zw. oranżeryach), gdzie stale przechowuje się i pielęgnuje większe ilości roślin zielonych. Za przykład posłużyć mogą: hodowla p. Tychowskiego, właściciela wielkich zakładów ogrodniczych we Lwowie (Zamarstynów), którą oglądałem w r. 1926, a która produkowała bez przerwy przez półtora roku (jednak słabo, t. j. niżej normy, ale tylko z winy właściciela), i hodowla p. Bąkowskiego, inspektora ogrodu botanicznego we Lwowie (również w tym czasie), która, maleńka wprawdzie i niezbyt długotrwała, produkowała jednak dziennie w stosunku 613 gramów, t. j. przeszło 61 dkg. z 1 m. kw.

Najpiękniejsze dotąd w Polsce pieczarki mieli sławni już Harcerze w Rawiczu w r. 1928; półtrozwinionych ich pieczarek na 1 kg. szło sztuk 21; nieco więcej — bo 24 na 1 kg. — szło pieczarek z hodowli p. Romana Dmowskiego w Chłudowie. Normalnie z każdej przeciętnej hodowli idzie 60 do 70 sztuk na 1 kg. Wreszcie zaciekawili Czytelników wiadomości, że w największej dotąd w Polsce hodowli Spółki „Polska Pieczarka“, w Poznaniu, szło zeszłego roku 450 sztuk pieczarek świeżych na 1 kg.!

Na zakończenie odpowiedzi na pytanie pierwsze dodam, że ja dotąd, t. j. od r. 1918, nie miałem ani razu produkcji krótszej, niż trzymiesięczna, nie mówiąc już o dłuższych; zaś na kilkaset hodowli nie udały mi się tylko dwie: jedna spółkowa w Krakowie, z powodu grzybni, sprowadzonej od Benary'ego z Erfurtu, w której znaleźliśmy kilkanaście niewystrzelonych, karabinowych naboju francuskich (więc śmiecie, zamiast grzybni, z jakiejś stodoły, w której biwakowało wojsko francuskie, oczywiście jeszcze z czasów wielkiej wojny); druga zaś u S. S. Miłosierdzia w Poznaniu, gdzie użyto — mimo mych przestróg — nawozu, zlanego obficie deszczem.

(d. c. n.)

Prof. Feliks Teodorowicz.

W SEZONIE GĘSI

Dziwnie się zmieniały pojęcia gastronomiczne po wojnie. — zmieniały się szczególnie w klasie średniej, przed wojną i rewolucją rosyjską o wiele zamożniejszej, mającej wiedzy znacznie większe wymagania komfortowe, żyjącej na znacznie szerszą skalę.

Więc przed proszonym obiadem albo kolacją nieraz godzinami rozmyślano nad tem, co podać „uchodzi”, a co „nie uchodzi”. Więc indyk lub kurczęta (bardzo wczesne), albo kaczki (wyjątkowo piękne i młode) można było podać na przyjęcie duże wprawdzie, lecz nie nadzwyczaj wystawne. Przy bardzo wielkiej gali obowiązywały bażanty, prawdziwe francuskie pulardy, ostatecznie, jeżeli kaczka, to prawdziwa rusańska, kuropatwy, jarząbki — przy bardzo długich jadłospisach jeszcze łżejsze: przepiórki, kwiczoły, bekasy lub dubelty.

Nikom do głowy nie przychodziło podać na pieczone — gęś. Owszem, byli i wtedy amatorowie gęsi, podawało się ją często w codziennych obiadach, była tradycyjnym daniem w dniu Ś-go Marcina. Uważano za brak smaku, za brak wyrobienia gastronomicznego to, że w Niemczech gęś była zaliczana do wykwinnych przysmaków. „Żydowskie pieczone” — mówiło się z odcieniem pogardy w głosie.

A obecnie — obecnie na dobrą gęś z kompotem, lub chociaż z jabłkami — już nie mówiąc o szalenie u nas drogich kasztanach — zaprasza się krewnych czy przyjaciół, jak na przysmak. I takie pieczone stanowi podstawę dobrego obiadu.

I nie tylko samą gęś najstaranniej do najmniejszego kaska zjadamy: staramy się wykorzystać z niej dróbka na czerninę, rosolnik lub krupniczek perłowy; same dróbka podać w potrawce z sosem grzybowym i kaszą, lub śmietanowym i brukwią duszoną. Szyjkę gęsi nadziewamy drobną kaszką z majerankiem, aby powiększyć ilość tych dróbek. Jeżeli wątróbka jest duża i biała, robimy ją oddzielnie, przyrządzając na rozmaite sposoby, gdyż zawsze stanowi wykwinną przekąskę. Czyli jedna, umiejętnie wybrana, kupiona i przyrządzona gęś może się stać przedmiotem kilkakrotnych przyjemnych sensacyj gastronomicznych.

Otóż, ażeby móc takiego „przyjemnego” ptaka wybrać, trzeba umieć to zrobić i mieć z czego wybierać.

I tutaj muszę rzucić poważne oskarżenie w kierunku hodowców i kupców. Młoda, duża, dobrze, lecz nie nadmiernie utuczona gęś jest towarem, bardzo rzadko spotykanym. Na rynku mamy przeważnie dwa typy gęsi. Jedne młode, nie tuczone specjalnie, tak zwane gęsi z runi, które nietylko się wypasają, co dorastają. Są nieduże, mają mięso smaczne i doskonałe się nadają na pieczone. Tego mięsa jednak mają tak mało, że gdyby nie różne smakowite nadzienia,

jabłka uduszone w ich sosie, różne kompoty i sałaty, do nich podawane — to właściwie nie byłoby na nich nic do jedzenia.

Drugi typ — to gęś nadmiernie przez żydów „na szmalc” utuczona. Te gęsi, jako koszerne, są nadzwyczaj drogie, zresztą, niedoświadczony nabywca niewiele miałby z nich korzyści. Przy pieczeniu cały szmalc się wytopi, a mięso pozostanie suche i łykowate. Sami żydzi jakoś specjalnie taką gęsinę przyrządzają, gdyż wszelki tłuszcz, nawet skórę z podskórnym sadłem dokładnie zdzierają i przetapiają, a samego ptaka sprzedają oddzielnie. Przypuszczam, że muszą go w jakiś specjalny, im tylko znany sposób dusić, gdyż piec go niepodobna.

Otóż przed wojną na Kresach wschodnich, po dworach hodowano sporo gęsi, nie na sprzedaż, jak teraz, lecz wyłącznie na własny użytek. Nie były to obecnie zachwalane olbrzymie gęsi tuluskie, emdeńskie i t. p. Były u jednych gospodyń białe, jak śnieg, z fryzowanymi, w łoki spadającymi piórami, gęsi „Pompadour” zwane, u innych zwykle, szare, lub szare z białymi łatami, a wszystkie odznaczały się prędkim rozwojem, silną budową i wielką mięsistością. Wszak z nich to robiono sławne litewskie półgęski, wędliny, przewyższające wszelkie inne wytwornym smakiem, a na taki półgęsek trzeba gęsiich piersi, porośniętych bardzo grubo mięsem, a mało tłuszczem.

Otóż na wychowanie takich gęsi składało się wiele czynników, przede wszystkim więc staranne od chwili wyjścia z jajka odżywianie, a potem, sądę, i to, że u nas nie istniał barbarzyński, zaiste, sposób — podskubywania gęsi. Robi się ono, rzekomo, dla zwiększenia ilości cennego puchu, który się w taki sposób dwa razy zbiera, jednak jestem głęboko przekonana, że to nie tylko na rozwój i rozrost gęsi, lecz nawet na smak jej ujemnie wpływa.

Miałam na wsi, u siebie, taki wypadek. Dwa ładne i, zwykle rozumne, olbrzymie psy, Leonbergery, znienawidziły młodego, dużego indyka, który im się kilka razy ostro stawiał. Zdybały go gdzieś w ustronnym miejscu, i, nie dusząc, ani raniąc, najstaranniej oskubały z pierza. Zostało mu tylko po parę piór w ogonie i skrzydłach. Skóra nigdzie nie była zadrażniona — tak artystycznie go miłe pieski zoperowały, że z osłabienia stać na nogach nie mógł. Po kilkakrotnym wysmarowaniu wazeliną pokazały się nowe supły i po miesiącu indyk był równie ładnie upierzony, jak przed katastrofą. Omijał starannie Rex’a i Nep’a, one też, odpowiednio ukarane, przestały go prześladować. Ale kiedy indyk, odpowiednio ukarany, został zarznięty i upieczony, miał mięso twarde i łykowate, jakby lat kilka sobie liczył, a był zupełnie młody. Gospodyni upewniała, że to z powodu wyczerpania organizmu na powtórny porost piór.

Jestem przekonana, że takie samo wyczerpanie przechodzą gęsi po podskubaniu. Nawet, gdyby to podskubywanie wielkiej szkody w smaku lub wzro-

ście gęsi nie czyniło, należałoby go zaniechać w imię nieprzyczyniania cierpień niemogącym się bronić stworzeniom.

Dobrze, prawidłowo tuczone gęsi, oprócz pasienia ich na łąkach skoszonych i ugorach, powinny dwa razy dziennie być dokarmiane siekanemi, jak dla indyków lub kaczek trawami, osypanemi mieloną z pośladków mąką, mieżaną z wszelkiego rodzaju zbóż. Tak dokarmiane, rozrosną się prędko i jeszcze przed sezonem pastwiska na runi, gdzie je dopiero po zamrznięciu ziemi puszczać można, doskonale się ukarmiają na zżętych polach zbożowych i około stert, albo na gumniskach w czasie młócki. Komu nie chodzi o specjalnie napęczniałą wątrobę, ani o szmalce gęsi — takich właśnie gęsi powinien używać na kuchnię własną — no, i na sprzedaż dla tych, co ich sami hodować nie mogą.

Pani Elżbieta.



SALATKA—SURÓWKA JESIENNA.

Ponieważ nie doszliśmy jeszcze do tego, żeby kartofle jadać na surowo, więc nawet do salat-surówek używamy kartofli gotowanych. Pół kilo kartofli ugotować w łupinkach, obrać dopóki gorące, pokrajać w cienkie paski. Dwa jabłka-antonówki, obmyte i wytarte do sucha; utrzeć na tarce do buraków. Sporą rzodkiew obrać z grubej skóry i również utrzeć. Nakoniec dużą hiszpańską lub dwie mniejsze, cukrowe cebule utrzeć na zwykłej, drożnej tarce. Zmieszać wszystko razem, osolić do smaku, wysypać cukru łyżeczkę od herbaty. Połać trzema łyżkami najlepszej oliwy. Nakoniec wcisnąć w to sok z niedużej cytryny, lub wlać dwie łyżki winnego octu. Wymieszać dokładnie, dać postać parę godzin przed podaniem. Podając, obłożyć salaterkę wkoło wianuszkami pokrajanych w plastry pomidorów, lub kwaszonych ogórków.

ROSOLNIK I POTRAWKA Z DRÓBEK GĘSICH.

Dróbka z młodej gęsi nastawić na smak z dwoma i pół litrami wody, marchwią, pietruszką, porem,

kawałkiem selera i cebulą. Wrzucić kilka ziarn pieprzu, ziela i listek, malusi grzybek suszony. Wątróbki gęsiej się nie gotuje. Skórkę, ściągniętą z szyjki, nadziać do połowy kaszką krakowską, zmieszaną z łyżką gęsiego szmalcu i garstką zielonego koperku, końce zaszyć, gotować z resztą dróbek. Gdy dróbka zupełnie zmiękną — a powinny się tak ugotować, aby odpadały od kości — wyjąć je do mniejszego rondla i zalać dwiema szklankami rosółu, potrzebnymi na sos. Włoszczyznę wyjąć, rosół przecedzić, włożyć weń kilka kartofli, pokrajanych w plastry lub dużą kostkę, i gotować, aż zmiękną. Przed samem podaniem włożyć jeden duży lub dwa mniejsze ogórki kiszzone, obrane z łupin i drobno pokrajane. Wlać filiżankę rosółu ogórkowego, zagotować parę razy i przelać do wazy, na przygotowany zielony, drobno usiekany koperek. Kto lubi zupełnie bardziej zawiesistą, może do niej dodać pięć deka oddzielnie rozklejonej na wodzie z masłem kaszy perłowej i zabielić zupełnie półkwatkiem śmietany. Ugotowanymi w rosolniku dróbkami obkładamy kaszę perłową, lub brukiem duszoną, na pozostawionym smaku robimy sos grzybowy ze śmietaną lub zwykły, zawieszony sos śmietanowy i podajemy go w sosierce lub polewamy nim potrawkę na półmisku.

WĄTRÓBKA GĘSIA Z JABŁKAMI.

Bardzo dużą i białą wątrobkę gęsią wymoczyć przez noc w wodzie lub mleku. W rondelczku zasmażyć tyle szmalcu, aby po włożeniu weń wątróbki, zupełnie ją przykrył. Włożyć wątrobkę i dusić wolno, aż dojdzie — powinna jednak we środku pozostać różowa. Wyjąć wątrobkę na talerz, dopiero teraz ją posolić. Do szmalcu włożyć utartą na tarce hiszpańską lub cukrową cebulę i dwa jabłka-antonówki, drobno pokrajane, soli do smaku i na koniec noża cukru. Dusić wolno, aż jabłka i cebula zupełnie się rozpuszczą. Wątrobkę pokrajać, ułożyć w kamiennym garnuszku, lub lepiej foremkach od sztrasburskich pasztetów, zalać tym szmalcem i dać ostygnąć przed użyciem. Dla zaostrenia smaku można dodać parę ziarn utłuczonego, białego pieprzu, lub łyżeczkę od kawy dokładnie utartego majeranku. Podaje się z bułeczką na przekąskę po wódce.

GĘŚ PIECZONA PO NIEMIECKU.

Na młodą, niedużą gęś usiekać pół kilo mięsa — wołowiny po połowie z wieprzowiną — przepuścić jeszcze raz przez maszynkę z dwiema wymoczonymi w wodzie lub rosole bułeczkami, utartą

Dr. J. ŚWITALSKA POWRÓCIŁA I ORDYNUJE, WARSZAWA
KRUCZA 31.
Kosmetyka leczn., choroby skóry.

na tarce cebulą. Wbić w to jajko, dodać ze dwa jabłka, utarte na grubej tarce, soli i pieprzu do smaku, łyżkę majeranku i wyrobić farsz, jak na kotlety. Jeśli jest w gęsi szmalec wewnętrzny, pokrajać go drobno i zmieszać z mięsem. Gęś oczyszczoną, jak zwykle, osolic wewnątrz i zewnątrz, natrzeć majerankiem, nadziać tym farszem, zaszyć otwór i piec, jak zwykle. Upieczoną już prawie zupełnie, obłożyć jabłkami i piec jeszcze, polewając gęś i jabłka tłuszcem i sosem z brytfanny. Krając gęś, uważać, aby przy każdym kawałku był kawałek farszu. Farsz ten tak przejdzie smakiem i zapachem gęsi, że się prawie wcale od gęsiny nie różni. Tak nadziana gęś jest bardzo podzielna.

Pani Elżbieta.

DOBRE RADY

Chcąc przerysować deseń, trzeba nakryć go arkuszem białego papieru, natartego benzyną zapomocą tamponu z waty. Benzyna, wsiąkając w papier, uczyni go przezroczystym, tak, że będzie można dokładnie rysować na nim ołówkiem, tuszem lub akwarelą. O ile deseń jest duży, trzeba papier nasycać benzyną częściowo, a po skończeniu roboty zostawić w spokoju na jakiś czas. Benzyna, wysychając, ulotni się, a rysunek nie straci na dokładności.

* * *

Czyszczenie przedmiotów z kości słoniowej. Natrzeć plamy i całość mieszaniną bardzo mialkiej soli kuchennej z sokiem cytrynowym. Następnie obetrzeć miękką flanelą i polerować płóciennym gałgankiem, maczanym w najładniejszej mące.

Zakochany

*Gdy ustami przylgnę do Twoich miłych rąk,
Jakbym kmiatu dotknął z nadmarteńskich łąk
Skąd ta miękkość skórki, jej subtelna woń?
Mydło „PRZEMYSŁAWKA” ma jedyną broń..*

765

*Dzięki znakomitym mieszan-
kom, angielska herbata
Lyons'a jest wszędzie przo-
dującą marką*

Herbata Lyons'a

DO NABYCIA

we wszystkich pierwszorząd-
nych handlach kolonialnych.

215

KORESPONDENCJE

Pai Snt. K. — Katowice. — Czarną suknię połączyć najlepiej z żorzetą czarną w jakiś barwny deseń, lub modnego koloru banana (odcien zielonego); sądzę, że Sz. Pani, jako blondynce, powinno w nim być do twarzy. — Co do zawiązania znajomości sądzę, że najlepiej będzie, skoro Pani jest prenumeratorką „Kobiety”, napisać do działu „Między nami”: w ten sposób osiągnie Sz. Pani napewno pożądaną cel.

Pani B. Barowie. — Żadana opaskę dostanie Sz. Pani u Jodłowskiego: Marszałkowska 81 — w Warszawie.

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17 zł. 40 gr. rocznie — 69 zł. 60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7 zł. 20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 54 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp

Redaktorki: STEFANIA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 244-75

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ”, Rymarska 8, tel. 244-18.

Nasza Mównica

Nasza ankieta gospodarcza.

Niniejszem przypominamy Sz. Czytelniczkom naszą ankietę, której celem jest racjonalna organizacja zakupów, dla jaknajwiększego pożytku każdej jednostki i rodziny, a także zdobycie, drogą zjednoczenia siły nabywczej, wpływu na rozwój naszego krajowego handlu i przemysłu.

Prosimy o nadsyłanie odpowiedzi na podane poniżej zapytania, z uwzględnieniem własnych dezyderatów i projektów:

1) Czy załatwia Pani osobiście wszystkie zakupy: produkty spożywcze, bieliznę, ubranie, obuwie, meble, książki, przedmioty użytkowe? Czy też część tych sprawunków robi mąż, dzieci, ewentualnie służąca?

2) Czy kupuje Pani u stałych dostawców, czy też przygodnie, po drodze, oglądając wystawę, za poradą znajomych, czy z ogłoszenia?

3) Czy widzi Pani znaczącą różnicę między towarami i wyrobami zagranicznymi i w jakich przedmiotach?

4) Czy w miejscu swego zamieszkania zauważyła Pani brak towarów i przedmiotów codziennego użytku, znajdujących się w innych, podobnych miejscowościach kraju?

5) Czy stara się Pani o wyjaśnienie przyczyny różnych braków i wad towarów i przedmiotów, zakupionych, lub traktowanych o kupno, ewentualnie czy zgłasza Pani swoje żądania w tym zakresie?

6) Jakie spostrzeżenia poczyniła Pani w sprawie dokładności wagi, solidnego i estetycznego opakowania, odsyłania przedmiotów do domu, traktowania klientów, udzielania kredytu i t. p. ułatwień?

7) Czy przed załatwieniem ważniejszych sprawunków czyta Pani ogłoszenia w pismach i kieruje się nimi i z jakim rezultatem?

8) Jakie ogłoszenia chciałaby Pani widzieć w „Bluszczu“?

9) Po jakie zakupy przyjeżdża Pani do stolicy, ewentualnie do innych wielkich miast polskich?

10) Umagi specjalne.

W odpowiedziach prosimy podawać jedynie numery pytań.

REDAKCJA.

Odpowiedź na ankietę gospodarczą.

1. Wszystkie sprawunki załatwiam sama, wyręczając się tylko, gdy jestem bardzo zajęta, przy zakupie towarów opakowanych.

2. Staram się kupować u stałych dostawców, chętnie jednak oglądam wystawy i porównuję ceny innych sklepów.

3. Wszędzie i stale żądam wyrobów krajowych, gdyż przekonałam się, że lepsze z nich (sprzedawane, jako zagraniczne, za cenę znacznie wyższą) nie ustępują w niczem zagranicznym.

4. Mieszkam w małym miasteczku; ponieważ jednak w pobliżu są większe miasta, brak tu różnych przedmiotów, które w innych, równie małych miasteczkach, nabyć można.

5. Po zgłoszeniu pretensji, co do jakości towaru, otrzymałam od kupców odpowiedź, że „wskutek nałożonych cel, fabrykanci, pewni rynku zbytu, nie starają się o poprawę jakości wyrobów“.

6. Zauważyłam, że wagi trzeba stale i wszędzie pilnować, często nie ze względu na nieuczciwość, ale na roztargnienie sprzedających; że kupcy najchętniej udzielają kredytu osobom na stanowiskach rządowych.

7. Owszem, kieruję się ogłoszeniami, częściej informuję się u znajomych, najczęściej, po zwiedzeniu kilku firm, kupuję w jednej i zostaję stałą tej firmy klientką.

8. Chciałabym w „Bluszczu“ czytać ogłoszenia, gdzie można nabyć przedmioty, przeznaczone do uproszczenia życia, tak często przez „Bluszcza“ demonstrowane rysunkiem i opisywane, których w handlu znaleźć niepodobna. Np. nowych mebli (śliczne, według mnie, praktyczne sypialnie, łóżka-szafy i t. p.) z uwagą, że zjawily się u nas. Chodzę, szukam, pytam — rozstąpi się, ziemio! — nigdzie nie podobnego nie widzieli! Musiałam zadowolić się sypialnią-pocziwizną o dwóch łózkach i szafach.

Albo i te garnki, hermetycznie zamykane cud! Cóż, nigdzie dopytać się nie można. Naturalnie, wolę ogłoszenia z podanymi cenami. Naogół uważam ogłoszenia za bardzo ważne. Po Wystawie w Poznaniu spotykałam osoby, ogromnie zdziwione, że w kraju wyrabia się np. kryształ. Niesposób też dopytać się, gdzie kupić wózek dziecienny krajowego wyrobu, a są takie, podobno, tylko firmy albo ich wogóle nie sprowadzają, albo sprzedają swoje, jako zagraniczne.

9. Do większych miast jadę: po kapelusz, płaszcz, kostjum, futro, meble, dywany, okrycia i t. d. Materjały na suknie, na ubrania, buciki i inne kupuję zwykle w miejscu zamieszkania, ewentualnie w pobliżu.

Marja Bielawska—Wilanowice.

Dlaczego tak źle się dzieje? (w odpowiedzi p. Łodziance..)

Dla uzupełnienia artykułu p. Łodzianki, pozwalam sobie dołączyć następujące szczegóły:

Przewodniczącą naszej, łódzkiej Ochrony Kobiet jest pani Anna bar. Heinzel, której pracy zawdzięczamy nasze istnienie.

Otóż, pani Heinzel, jeszcze za czasów okupacji w 1917 r., w bardzo ciężkich warunkach wznowiła działalność T-wa. Udało jej się wtedy zdobyć szycie dla setek najbiedniejszych kobiet, których ojcowie, mężowie i bracia walczyli na froncie.

Dziś tych robót już niema.

Rada Główna Opiekuńcza, siłą rzeczy, zlikwidowała swoje sprawy; Łódzka Intendentura Wojskowa, która przedewszystkiem Ochronie Kobiet powierzała szycie bielizny, nie wydaje teraz pracy na Łódź; Kasa Chorych, Magistrat, od których otrzymywaliśmy sporo roboty, mają obecnie swoje warsztaty; Kolej Elektryczna Łódzka oddała szycie tym razem podobno krawcom z miasta, na zamówienia jest również mniej bielizny, wszędzie konkurencja: trykoty i jedwabne kombinacje zapanowały wszechwładnie nad bielizną białą.

A jeszcze wiele osób wymaga, żeby szyć taniej, niż płaci się każdej przeciętnej szwaczce, bo to jest Ochrona Kobiet, a zatem powinna szyć bardzo dobrze i bardzo tanio; klient nie zastanawia się, że ponosimy wszystkie koszty, takie same, jak każda prywatna pracownia, z tą jeszcze różnicą, że pracownie prywatne często uchylają się od ubezpieczeń społecznych, a nieraz panuje tam i wyzysk, co nie ma i nie może mieć miejsca w T. O. K.

Dziś maszyny nie wszystkie są zajęte, to prawda, lecz czy winien jest temu Zarząd lub szwaczka?

Kurczymy się coraz bardziej i z bólem serca konstatujemy fakt, że T-wa swego rozwijać nie możemy.

Spółceństwo za mało się nami interesuje: panie, do których apelowałyśmy w prasie, bodajby w sprawie ofiarowania jednej godziny pracy honorowej na dworcach, zostały na zew nasz głuche; bo te panie, które umieją pracować, są rozrywane w wielu powojennych, również b. potrzebnych instytucjach; inne może wolą beztrósko posiedzieć w modnej kawiarni, niż myśleć o pracy społecznej, nie zastanawiają się i żadnej społecznej pracy nie doceniają, a tembardziej starej, poważnej roboty T-wa Ochrony Kobiet, źródła dobrych poczynań, jak Sz. Pani Łodzianka określiła.

Niech te słów kilka możliwie uzupełnią Jej artykuł i bodajby poruszyły się serca kobiet dla kobiet.

Bronisława Ślawińska—Łódź.

Talentowi należy dopomóc.

Przekonałam się niejednokrotnie, jak żywe zainteresowanie wywołują wśród nas (mam przecież prawo nazwać takim „rodzinnem” słówkiem wszystkie czytelniczki „Bluszczu”?) kwestje bardzo różnorodne. Wobec tego występuję z moją sprawą, którą streszczę w kilku słowach.

Otóż przed paru miesiącami, przypadkiem, mój mój odkrył wśród żołnierzy — przy sposobności urządzania sceny, malowania dekoracyj etc. w teatrze żołnierskim — chłopaka, zdradzającego talent malarski. Zajęliśmy się nim oboje i przekonaliśmy się, że talent ten jest doprawdy pierwszorzędny, zwłaszcza w kierunku rzeźby i rysunku.

Chłopiec ten jest absolutnym samoukiem. Przed paru laty uciekł do Polski z głębi Bolszewji, dokąd całą jego rodzinę ewakuowano w czasie wojny, aby wydobyć papiery, mające dopomóc matce i rodzeństwu do uzyskania pozwolenia na wyjazd z Rosji. Już na granicy otrzymał wiadomość, że matka umarła, a młodszych braci bolszewicy wzięli do jakiegoś instytutu wychowawczego i wszelki słuch o nich zaginął. Chłopak znalazł się absolutnie sam, bez środków do życia, bez szkół (ukończenie 5 klas gimn. bolszewickiego nie przedstawia u nas formalnej wartości). Na szczęście, spotkał w Warszawie amerykańkę, przewodniczącą Y. M. C. A. w tem mieście w Rosji, w którym przebywał, a która z owych czasów doskonale go pamiętała. Ażeby narazie gdzieś go umieścić, poprosto dać mu w jaknajkrótszym czasie możliwość zarobkowania, postarała się owa pani o przyjęcie go na dwuletni niższy kurs rolniczy. Kurs ten ukończył, odbył roczną praktykę, jednak do tej pracy ma on bardzo mało zamiłowania.

Obecnie odbył służbę wojskową, pod koniec której złożył egzamin w warszawskiej szkole „Sztuki Zdobnictwa i Malarstwa dekoracyjnego”.

Warunki pobierania nauki w tej szkole są następujące: kurs trwa lat cztery, opłata roczna wynosi 250 zł. Jak wspomniałam, chłopiec nie ma absolutnie nikogo, kto by mu dopomógł, a przecież, oprócz opłaty szkolnej, musi mieć trochę grosza na mieszkanie, ubranie i jedzenie.

Może któraś z Pań wie o jakimś zajęciu, odpowiednim dla niego, a które dałoby mu możliwość



Pierwsza rzeźba artysty-samouka.

utrzymania się w Warszawie? Szkoda byłoby chłopca, jest to artysta „pur sang”. Żal patrzeć, jak nie ma on znikąd pomocy.

Dołączam fotografię jego rzeźby, nam ofiarowanej, pierwszej rzeźby w życiu, zrobionej scyzorykiem i jakimś prymitywnym dłutem, a więc nawet bez potrzebnych narzędzi.

Z niecierpliwością oczekiwać będę odpowiedzi, gdyż wierzę, że apel mój znajdzie oddźwięk w sercach Pań.

Czesława Bezegoma — Brześć n. B.

Z donżuanami można dać sobie radę.

To nie będzie obrona ulicznych lowelasów, strzeż Boże! Instytucja stara, a niepoważna. Trzeba chyba zawsze i wszędzie mieć niepowodzenie u znajomych kobiet, żeby narzucać się kobiecie nieznanomej.

Nie może być dwóch zdań co do konieczności zapewnienia przechodniom na ulicy, w tej liczbie i kobiecie, nawet młodej, przystojnej, nawet trochę jaskrawo ubranej i umalowanej, spokojnej cyrkulacji.

Tak, ale to wszystko dopóty jest bezsilnym paljatywem, ucinającym odrastające głowy hydry, dopóki całe społeczeństwo, jak jeden mąż, nie wystąpi przeciw danemu objawowi.

W kwestji ulicznej, niesmacznej donżuanerii niema sprzeciwu ogólnego. Nic to, że sporo mężczyzn różnego stanu i wieku zabawiać się w ten sposób lubi, ale... że znaczna ilość kobiet też różnego wieku i stanu również... zabawiać się w ten sposób lubi.

Powiedzą mi Panie z oburzeniem, że to nie są „porządne osoby”, ale ja myślę, że owszem, to są rozmaite bardzo osoby... a w każdym razie nie zawsze te... których wymienić nie śmiem. A przyznać trzeba, że „na oko” trudno rozpoznać, czy dana panienka należy do tych, które drętwieją z przerażenia przy „zaczepce”, czy do tych, które chętnie, w braku odpowiedniejszego miejsca, nie pogardzą małym flircikiem w ogrodzie, na ulicy, w kawiarni czy w teatrze...

Trzeba wierzyć, że zdrowy instynkt i śmiałe dążenie do szczerości zwycięsko wyjdzie z chaosu nowych tworzeń i pchnie życie kobiety wyzwolonej w koryto głębszej, szerszej pojętej i mądrzej stosowanej cnoty, niż cnota kastowa „porządnych pań”, które nie wychodziły same na ulicę.

Tymczasem z jednej strony należy, oczywiście, uwolnić na drodze ustawodawczej i na drodze samopomocy społecznej kobiety samotne od narzucających im się gburów, a z drugiej, nie biorąc rzeczy od strony tragicznej, starać się odpowiednią, spokojną reakcją przekonać donżuana, że tym razem źle trafił i że powinien poszukać „szczęścia” gdzie indziej.

Dla unaocznienia, jak różna może być skala reakcyj na zaczepienie, przytoczę dwie krańcowo różne i skuteczne: Mam 18 lat i podróżuję w przedziale dla pań zupełnie sama. Jakiś starszy, poważny grzeszny pan pyta, czy może przyprowadzić do przedziału synka; chłopaczek jedzie na egzamina... robi się noc, a w ogólnym wagonie ciasno. Owszem, proszę!

Niewyspany dzieciak, jeszczeby się, biedactwo, obciął! (Jestem usposobiona pedagogicznie, z przyrodzenia!). Pan powraca, bez chłopca. Już usnął na swoim i ojcowskim miejscu. Czy wolno, zanim się zabiorę do spoczynku, usiąść? Nie oponuję... taki starszy pan, który już mnie interwjuje co do egzaminów i wychowania! Jednak po kwadransie jakoś się robi nieprzyjemnie, nie wiem czemu... Wcześniej jest, ale powiadam, że chcę spać i... żegnam. Poważny pan, pod pretekstem pomocy w zdjęciu walizki z siatki, robi gest wzięcia nietylko walizki, ale i sięgającej po nią z ławki osoby w opiekuńcze ramiona...

Dosyć! Chwila i mam w ręku mój mały rewolwer, dał mi go brat na drogę. Nieprzyjemne spojrzenie między oczy, gest i trzy słowa:

— Ja umiem strzelać!

Ułamek chwili i jestem znowu sama w przedziale. Poskutkowało!

W dziesięć lat potem (mój nastrój pedagogiczny trwa bez zmiany). Jesteśmy w Krakowie, mój brat i ja. Mamy iść do teatru. Brat telefonuje, że przyjechali jego znajomi z Warszawy, z tych mniej przyjemnych, ale trudna rada, będą w teatrze w łoży. Umawiamy się, że skoro tych znajomych poznać nie mam ochoty, brat mój w teatrze, gdzie mamy krzesła obok, będzie udawał obcego pana, może sobie iść do łoży tych państwa bezemnie.

W teatrze robimy tak, jakieśmy ułożyli; z chwilą ukazania się tych państwa w łoży, mój brat przestaje być moim znajomym. Nie zważamy na bardzo młodego sąsiada o kilka krzeseł dalej, który nas obserwuje i... zorjentował się w sytuacji: jestem, rzecz jasna, jedną z tych, którym przyzwoity pan nie kłania się, gdy jest w towarzystwie pań z „towarzystwa”.

I oto młodociany sąsiad przesiada się na opróżnione miejsce obok... zacerwienił się, znać debiutant, i z udaną dezynwolturą:

— Nie przeszkadzam? bo jabym z panią poszedł na kolację...

Jeden moment i teraz ja zorjentowałam się... Ach, jaką szpetną, jaką szkaradną rzecz chce uczynić ten duży dzieciak! I to ja, acz niechcący, mam być tego przyczyną... Oczywiście, mnie nic nie grozi, ale przecież znajdzie sobie wesołą partnerkę do kolacji i reszty...

— Panie — mówię prosto i serdecznie, patrząc mu w oczy — ja nie jestem tem, co pan myśli... moja troszeczkę wina, że się pan omylił... mój towarzysz był poprostu bratem moim — (w kilku słowach wyjaśniam, co i jak...). — Ale niechże to nie będzie powodem jakiegoś czynu niegodnego pana, czegoś, co by zasmucić mogło jakieś bardzo do pana przywiązane niewieście serce... żegnam pana.

Uklonił się z respektem. Nie poszedł za mną, chcę wierzyć, że zjadł kolację sam.

Więc, dla jednego typu „zaczepiaczy” nadaje się ostry, zdecydowany sprzeciw, dla drugiego rzetelny spokój i wyjaśnienie, że... nie tędy droga.

M. B. z Lubelskiego.

P. Z. G. ze Lwowa prosimy uprzejmie o podanie dokładnego adresu.

Redakcja.